

Meandry języka



Florian Śmieja (z prawej) i Jan Miodek (z lewej), fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Było to chyba jeszcze w 1935 roku, kiedy wychowawca tłumaczył nam zmiany w nowej ortografii, która miała obowiązywać od 1936 roku i dotyczyć wielu imion, a nawet nazwisk. Podpisywałem się wtedy Florjan Śmieja. W mig na kartce papieru złożyłem zmieniony, moim zdaniem, według nowych przepisów podpis i byłem rozczarowany, kiedy nauczyciel zgodził się na krótkie „i” w imieniu, ale kazał w nazwisku przywrócić „j”. Może od tego momentu zacząłem dbać o pisownię mojego nazwiska. Kiedy więc kujony i puryści trzymając się ściśle przepisów nowej ortografii pisali w dopełniaczu “Śmiei”, protestowałem najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Odtąd mam problemy i mają je inni, którzy skłonni mi iść na rękę.

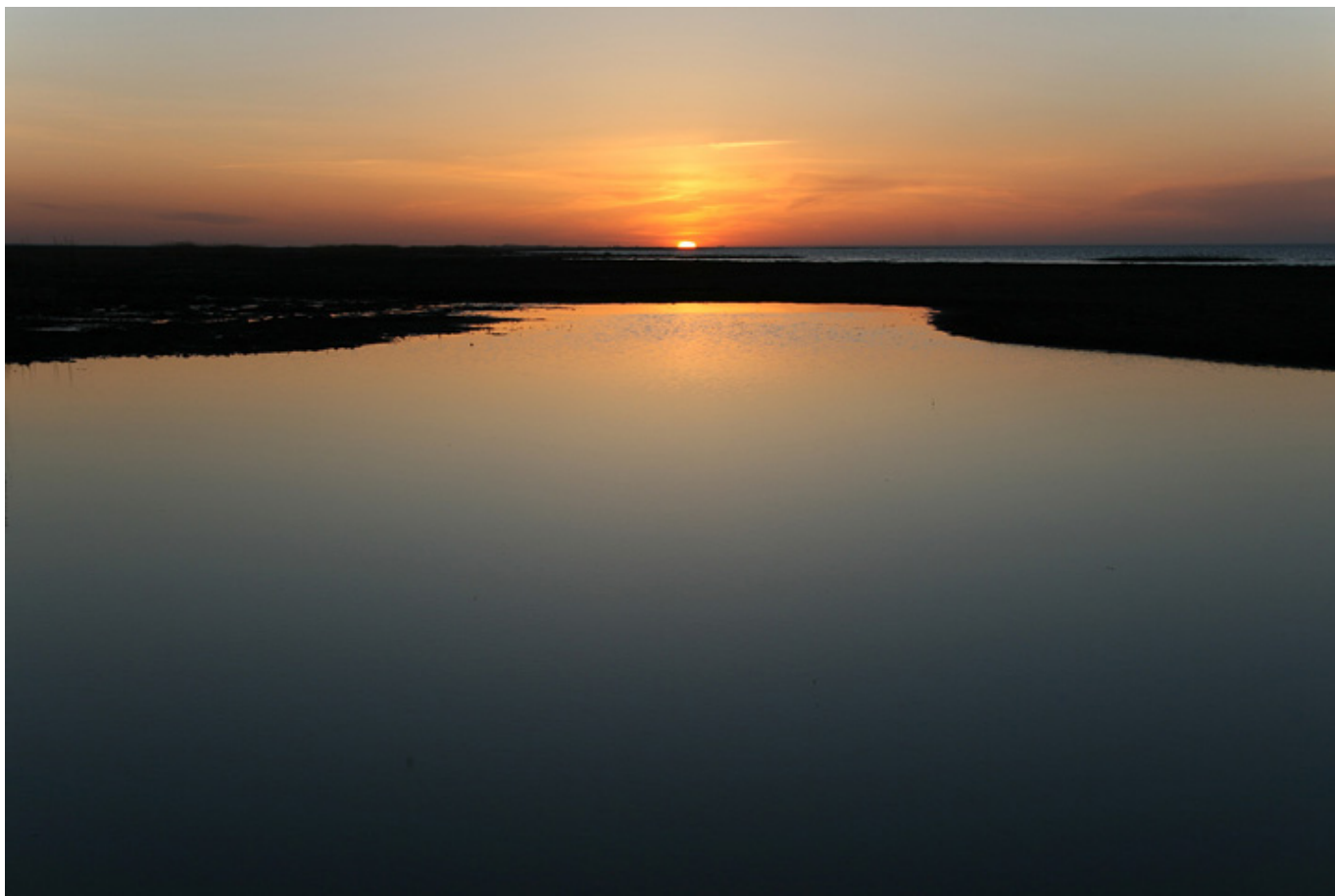
Tymczasem zacząłem krytyczniej patrzeć na odmianę rzeczownika kończącego się na

-ja. Nie będąc fanatykiem gramatyki przecież zauważyłem, że nazwiska z końcówką -ja, Zieja, w odmianie zmieniają temat przed dodaniem końcówki przypadku. Tematem nazwiska Zieja jest Ziej, a nie Zie, także Śmiej, a nie Śmie. Dlaczego więc "Śmiei" ma być poprawne?

Przeszedłszy w Kanadzie w 1991 roku na emeryturę zacząłem latać do Polski, aby uczyć hiszpańskiej literatury. Wypraw tych było szesnaście. Pierwsze czteromiesięczne staże miały miejsce we Wrocławiu. Na uniwersytecie poznałem znakomitego językoznawcę profesora Jana Miodka. Okazało się, że skończył to samo gimnazjum, co ja, w Tarnowskich Górach, a być może uczył mnie jeszcze jego ojciec w tzw. Ćwiczeniówce. Zaprosił mnie do programu "Ojczyzna-Polszczyzna". Zwierzyłem mu się z nękających mnie wątpliwości, co do słuszności niektórych reguł ortografii. Kazał uzbroić się w cierpliwość i zapowiedział zajęcie się tą sprawą rzeczoznawców. Jest więc nadzieja.

Na razie zadowolić się muszę sporą notą pod hasłem "Śmieja" w "Słowniku Ojczyzny Polszczyzny" Jana Miodka.

Zajsan u stóp Ałtaju



Jezioro Zajsan, fot. Dmitry A. Mottl, wikipedia.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Syberia była domem małżonków Bronisławy z Szemiotów i Modesta Iljinów aż do roku 1922 roku. Mieszkali w Dżungarji, w miasteczku Zajsan wtopionym w góry Ałtaju. 13 grudnia 1918 roku urodziło się trzecie dziecko – Wiktoria zwana Wiką. (Była to późniejsza sanitariuszka Wojskowej Służby Kobiet w Powstaniu Warszawskim, późniejsza artystka rzeźbiarka).

Gdy pytam Kaję o obrazy dzieciństwa, odpowiada mi, że swoje dzieciństwo wspomina jak piękną bajkę. Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę. Z jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju, z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dźminiejką. Dalej przechodziło się przez nieduży drewniany mostek i idąc w prawo, dochodziło do młyna, przy którym rzeka była przegrodzona kamienną tamą tworząc dość głębokie rozlewisko, w którym można było pływać. Przy letnich upałach dochodzących do 50 stopni Celsjusza, kąpiel w rzece sprawiała szczególną rozkosz. Nad brzegami rzeki, rosły różnorodne krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju, za mostkiem, rozciągał się step, i tam

gdzieś, ale nie wiadomo było gdzie, przebiegała granica między Rosją i Chinami. Step wyglądał dość jednostajnie, dopiero bliżej miasta rosły drzewa topoli, jarzębiny i czeremchy. Kwitnąca wiosną na biało czeremcha odurzała mocnym, przyjemnym zapachem. Niezwykle też pachniała lukrecja o słodko-mdłych korzeniach, przysmaku dzieci, które uwielbiały je wysysać. Lukrecja była znana od dawna w Chinach, Egipcie, Grecji, jak i w starożytnym Rzymie, wierzono, że jej korzeń posiada moc magiczną, używana też była jako roślina lecznicza.

Iljinowie mieszkali w dużym otynkowanym domu z płaskim dachem. Przez ogród przepływał aryk, specjalny kanalik (te kanaliki obsługiwały wszystkie domy w Zajsanie) o pionowych ścianach i płaskim dnie, którym płynęła źródłana woda z gór. Służyła do picia domownikom i wspierała całe gospodarstwo, a było ono rozległe. Obszerne podwórze otaczały zabudowania gospodarcze. W obejściu były trzy wielbłądy - baktriany, osobno dwa konie, krowy, owce z charakterystycznymi dla tych regionów kurdiukami. Kurdiuk - to był taki jakby worek z tyłu owcy, jak garb u wielbłąda. Gdy owca jest chuda, zwisa z tyłu, gdy na jesieni jest tłuściutka, kurdiuk wypełnia się i przedłuża poziomo tułów o mniej więcej czterdzieści centymetrów. Były też świny i wielkie wieprze, a także mnóstwo drobiu, indyki i kury.

Wielbłądy były dwugarbne, w wielkich worach zwanych jukami dowoziły węgiel z „własnej kopalni”. Kopalnia była odkrywkowa, stanowiła niewielkie wybierzysko podstemplowane na stromych, ale dostępnych zboczach Ałtaju. Nie było głębokie, gdy trzeba było stemplować głębiej, po prostu przenosiło się w inne miejsca. Kopalni doglądał Polak, inżynier górnik pan Napieraj. Poza węglem były kopalnie odkrywkowe grafitu, który służył do wymiany z Chińczykami między innymi na tkaniny, cukier, papier i zapałki. Napierajowie oprócz domku w Zajsanie - mieli także drugi niewielki domek, niedaleko kopalni, do którego przenosili się na lato. Stał on na wzgórzu nad strumieniem, stąd rozciągała się wielka dolina - step oparty o pionowo spadające potężne zbocze Ałtaju. W tym miejscu koczowniczy Kirgizi ze swoimi wielbłędami i stadem owiec rozbijali auł, miał on niewiele jurt, może siedem, może dziesięć. Wkoło były konie, wielbłądy i owce.

Bronisława Iljin często odwiedzała państwa Napierajów w ich letnim domku i zwykle zostawiała u nich Kaję. Napierajowie bardzo ją polubili, a ona zaś lubiła być w coraz to w innym miejscu. Pamięta, gdy Kirgizi rozbili auł, ich małe dzieci biegały dookoła

nago. Kaja często uciekała z samotnego domku państwa Napierajów na dół do aułu, a później za ich przyzwoleniem, nocowała u Kirgizów w jurcie na wojłoku, piła wielbłądzie mleko, jak i mleczny napój musujący zwany kumysem. Kirgizi częstowali pyszną herbatą w pięknych „kasieszkach” (były to filiżanki z chińskiej porcelany bez ucha trzymane za denko). Herbata mocna i wonna, nie brakowało jej dla nikogo, była lekko osolona i zaprawiana baranim tłuszczem. W kieszeniach trzymali bursaki, które często podgryzali. Bursaki były to kawałeczki ciasta krojone z cieniutkiego długiego ruloniku, zrobione z osolonej mąki z wodą i smażone w baranim tłuszczu. Kirgizi, prości i mądrzy ludzie, byli bardzo życzliwi i troszczyli się o dzieci. Podarowali Kai dwa niewielkie białe orły, które odleciały, gdy podrosły. Nie wie skąd były te orły, ale pamięta, że mogła je dotknąć i pozwalały się głaskać.

Wielbłądy po przywiezieniu węgla odpoczywały na podwórzu przy przybudówce domu, na której płaskim glinianym dachu Kaja budowała domek dla lalek. Wykazała przy tym niemałą determinację i pomysłowość. W pudełkach po zapalkach suszyła cegiełki z gliny, i właśnie z nich zbudowała gliniany domek.

Wielbłądy były wysokie, a przybudówka niższa od domu, więc lubiły wsuwać na nią głowy. Kaja chcąc się z nimi bawić, czasami drażniła je gałązką po chrapach, a one w odpowiedzi, poirytowane, opluwały ją. Dokuczali sobie nawzajem tak długo, aż albo Kai, albo wielbłądom, się znudziło. Na ogół były łagodne i posłuszne, klękały, gdy się na nie wsiadało, kroczyły majestatycznie lekko się kołysząc. Mała Kaja jeździła na wszystkim, na czym się dało, na baranie, który tego nie lubił, na osiołku, bo był i osiołek, a także jeździła na świni. (...)

W dalekiej dolinie mieszkał w domu z zawieszoną nad tą doliną werandą stary człowiek – pszczelarz. Kaja jeździła tam konno ścieżką wśród wysokich gór z matką po miód. Nie pamięta pasieki i nie wiedziała, czy pszczelarz miał ule, czy też zbierał z barci w lesie, bo w tym rejonie był już las, ale miód zawsze był gotowy. Matka jechała na swoim gniadym koniku, który czasami był zaprzęgany do wozu lub zimą do sań. Zwykle koń bardzo tego nie lubił, skakał wtedy przez rowy w stepie zrzucając powoźcę. Jeśli to była Mama, to wiedział o tym, zatrzymywał się, i był jej posłuszny. Właściwie nikt poza nią nie mógł na tym gniadym koniu jeździć.

Kaja jeździła przeważnie na oklep na wielkim starym karym koniu, którego grzbiet

był wygodny i szeroki jak kanapa. Wygodniej było jeździć na wielbłądzie siedząc między dwoma garbami. Najczęściej jeździło się jednak konno lub bryczką, zimą saniami. Wielbłądy były zajęte wożeniem węgla.

W domu obok pokoju dziennego, dwóch pokoi rodziców, osobnych Kai, jej brata i siostry, był także pokój Jefrosinji Fiodorowej. Była ona Rosjanką - „białą uciekinierką” zadomowioną w rodzinie Iljinów. Pochodziła spod Petersburga i była kiedyś żoną carskiego oficera. Bronisława przyjęła ją do domu i Jefrosinja zajmowała się gospodarstwem. Całymi dniami przebywała w olbrzymiej kuchni, z której prowadziły drzwi w różne miejsca, na przykład do przybudówki, która służyła jako letnia spiżarnia. Stały w niej słoje z konfiturami, wiadra pełne jakichś marynat, worki z kaszą i pszenną mąką (bo żyta tam nie było), wisiały pęta kiełbas i szynki. W domu był także specjalny duży pokój służący jako spiżarnia zimowa. Stały w nim wielkie beczki z kiszoną kapustą i niedużymi arbusami. Na hakach wisiały całe połacie świń, baranów, zimą polewane wodą, zamrożone. Kolejne drzwi z kuchni prowadziły do łazienki nazywanej umywalnią.

Na środku wielkiego podwórza był „kierat”, przymocowane do koła drągi, które obracał koń. Drągi miały na końcu zawieszona siedziska dla dzieci. Na taką jazdę na kieracie schodziły się dzieci z okolic. W tymże miejscu na środku podwórza zimą budowano górę lodową do zjeżdżania dla dzieci sankami, z wydrążonym wnętrzem i schodkami na szczyt.

Na podwórzu, w głębi, stał niewielki dom, w którym mieszkała „chazajka”. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się właśnie ją nazywało, i Kaja nie wie, czy może była to właścicielka wynajmowanego przez rodzinę domu. Co dziwne, nikt jej nie widział, a wieści krążyły, że była bez nogi. Dzieci nie chodziły w tamtą stronę i mały domek omijały z daleka.

Ojciec Kai pracował jako buchalter, a matka udzielała się wśród polskiej społeczności, na przykład zorganizowała Koło Polaków i została jego przewodniczącą. Miała dużo obowiązków, między innymi zajęła się organizowaniem pomocy tym Polakom, którzy około 1921 roku uciekali przed docierającym na te tereny bolszewikami. Przerzuty odbywały się przez pustynię Gobi na wschód do Chin. Kaja pamięta, że na drogę szykowano suchary, suszono mięso. Kiedyś

naszykowany suchy prowiant leżał na otwartym oknie w kuchni i zjadł go koń, który także był przysposobiany do drogi, bo uciekinierzy wyjeżdżali konno. Pamięta, że przesuwano termin wyjazdu i były z tym jakieś kłopoty.

W miasteczku mieszkało wiele polskich rodzin i wszyscy starannie pielęgowali święta i polskie tradycje. Polska była daleko i była niemal mitem dla wszystkich dorosłych. Dzieci żyły własnym życiem, którego obraz po latach nabierze jeszcze większego uroku. W tym wieku Kaja nie znała pojęcia ojczyzny, niewoli, i niewiele się zastanawiała nad rodzinną opowieścią, że ojciec kiedyś był zesłańcem na Sybir. Dzieciństwo odbiera się wprost, jako otoczenie i ludzie, którzy nas otaczają. Kaja pamięta, że jako małą dziewczynkę interesowała ją głównie przyroda, zwierzęta i żyła z nimi w dużej symbiozie.

W mieście Barnauł po przyjeździe z Białegostoku zamieszkała matka Bronisławy, Elżbieta z Kuderskich Szemiotowa, zwana przez wszystkich Babunią, a także jej inne córki: Jadwiga (po mężu Białecka), Felicja, Konstancja, Józefa (która już wcześniej przeniosła się tam z Orenburga), i Waleria. Wszystkie ciotki były pracowite i przedsiębiorcze i dobrze sobie radziły. Kaja pamięta wspólne z ciotkami pływanie łódką po rzece Ob. Były zwykle dość uszczypliwe i mała dziewczynka nie lgnęła do nich. (...)

W młynie przy rzece Dżyminiejka mieszkała dziewczynka, starsza od Kai, dobrze ułożona i grzeczna. Była po jakiejś chorobie i dziergała dużo na drutach zachęcając ją także do tego zajęcia. Kaja zaś żadnych robótek kobiecych nie lubiła, nie miała koleżanek i ich towarzystwa unikała. Wolała z gromadą chłopaków biegać po polach, pływać w rzece lub pędzić w step. Wyrywali rosnącą na pagórkach w stepie wspomnianą lukrecję, której słodkie korzenie bardzo wszystkim smakowały i były dla dzieci jak cukierki.

Lubiła też biec ścieżkami w góry, gdzie w najwyższych partiach stały kozice bez ruchu, zanim je nie spłoszono. Wyglądały jak białe nieruchome rzeźby przyczepione do małych wystających skałek. Na dróźce często pojawiały się węże, wielkie, wygrzewające się w słońcu, lub niżej, wskakujące, a właściwie wślizgujące się z chlupotem do rzeki. Chłopcy często je zabijali, o ile nie dało się ich ominąć na ścieżce.

Nie lubiła lalek. Pamięta, że szło się je w domu, ale twarze miały ze skośnymi oczami, bo tylko takie maseczki przywozili Chińczycy, którzy przyjeżdżali do Zajsanu na handel, przywożąc między innymi główki do lalek. (...)



Widok na rzekę Ob w okolicach miasta Barnaul.

Barnaul był ładnym miastem o ciekawej architekturze. Położony wzdłuż jednej z największych rosyjskich rzek Ob, założony w 1730 roku jako osada, gdzie wydobywano srebro. Kopalnia srebra nadała mu specjalny status i szybko się rozwinął. W 1917 roku miasto liczyło już 70 tysięcy mieszkańców, i wciąż się rozwijało. Rok później połowa miasta została zniszczona przez ogień i potem pozostała część została zniszczona przez rewolucję. W 1940 roku Barnaul zaczął ponownie się rozwijać, kiedy wiele firm przeniosło się w te rejony, aby uniknąć niemieckiej inwazji.

Zapamiętany obraz z wizyty u Babuni i ciotek w Barnaule: wieczór w Klubie Polskim. Panie ubrane w długie suknie, pięknie pachnące perfumami, jest „polski wieczór”, ma być teatr, będą deklamować także dzieci. Scena jest starannie udekorowana, dużo kwiatów i zieleni, lampiony. Kaja ma deklamować wiersz Adama Mickiewicza „Powrót taty”. Jest na scenie, ale kurtyna jeszcze nie podniesiona. Dziewczynka nie wytrzymuje napięcia i zaczyna mówić:

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

Za miasto, pod słup na wzgórek,

Tam przed cudownym klęknięciem obrazem,

Pobożnie zmówcie paciórki.

Tato nie wraca; ranki i wieczory

We łzach go czekam i trwodze;

Rozlały rzeki, pełne zwierza bory

I pełno zbójców na drodze.

Mama przerywa - „Nie teraz. Zaczynasz, gdy podniosą kurtynę...”. Kurtyna idzie do góry, a Kaja z płaczem ucieka ze sceny.

Pamięta, jak na placu w miasteczku Zajsan, gdy przyszli tam bolszewicy, był słup wysmarowany chyba mydłem, a na jego czubku zawieszono parę butów. Buty były wtedy dużym skarbem, a miał je zdobyć ten, który wejdzie po śliskim słupie na sam czubek i je zdejmie. Amatorzy ześlizgiwali się już z połowy wysokości, i chyba nikt tych butów nie zdobył.

W miasteczku nie było sklepów, kwitł wspomniany wyżej handel wymienny z Chińczykami, którzy brali grafit w zamian za cukier w tzw. głowach. Cukier wtedy był sprzedawany jako jednolita bryła wysokości około 50 centymetrów w kształcie stożka o ściętym wierzchołku i średnicy na dole około 25 centymetrów, w górze 15 centymetrów. Łamało się go specjalnymi młoteczkami lub szczypcami, a kawałki wielkości mniej więcej naszych obecnych kostek cukru - ale różnych kształtów - podawało się wraz ze szczypczykami do brania już w cukiernicach, przy samowarze.

Wszystko robiło się własnym „przemysłem i pomysłem”. W każdym polskim domu wykonywało się coś na użytek innych. Pod samymi górami Ałtaju mieszkała wdowa z dwiema dorosłymi córkami. Robiły kapelusze i szyły strojne suknie. Zdarzało się, że wszystkie Polki latem chodziły w różowych sukienkach, bo bela materiału przywieziona przez Chińczyka była akurat różowa. Bronisława Iljin dla wszystkich znajomych dzieci robiła sandały. Piastun dzieci, stary Kirgiz, wytłaczał z wielbłądziej

lub owczej wełny walonki na zimę, wołokowe buty do kolan. U państwa Guzów była zaś tłocznia oleju, który tłoczyło się z maku.

Aby tłoczyć olej, latem jechało się w kilka wozów, niczym cygańskich, okrytych na pałkach brezentem chroniąc przed upałem, który dochodził + 50 stopni Celsjusza. Jechało się z pościelą, samowarem i garami na odległe pola zasiewane przez Chińczyków makiem. Zabierało się ze sobą prowiant, bo jechało się na kilka dni lub na cały tydzień, aż gdzieś do niedalekiej granicy z Chinami.

Chińczycy zasiewali makiem całe połacie ziemi, która była niczyja. Gdy makówki były zielone, nacinali je nożykami, a gdy występujący w nacięciach sok tężał i nabierał koloru brunatnego, zbierali go nożykami. To było opium. Ziemi było tyle, że pola z makiem pozostawiano i siało się każdego roku w innym miejscu. Mak dojrzewał i wtedy wyprawy organizowali Polacy.

Rozbijało się obóz, gotowało potrawy, spało pod gołym niebem na matach. Całe dni odbywało się zrywanie i rozcinanie makówek i zsypywanie maku do worków. Wieczorem zasiadało się dookoła ogniska z rożnem, na którym piekł się baran i łuskało się mak do worków. Olbrzymi księżyc o jakimś kolorze żółto-zielonym, wzbijał się coraz wyżej, i była taka cisza, że słychać było szelest ziarenek maku objającego się o makówki, gdy rodzinny kot Macio, którego także zabierano, chodząc po zagonach potraçał łodygi maku. Po powrocie do miasta u państwa Guzów w tłoczni wyciskało się olej, a wielkie krążki makuchy służyły do karmienia zwierząt.



Góry Ałtaj w Kazachstanie, fot. wikipedia.

Przygotowania do srogiej syberyjskiej zimy były różnorodne. Na przykład, biło się świnie i barany. Wielkie wianki suszonej kiełbasy i wędzonych szynek zapełniały spiżarnię. Duże beczki pełne jagód, żurawiny, marmolady, pastyli, a nawet beczułki z masłem ustawiało się rzędem w spiżarni w domu. Na zewnątrz w stodole pełno było zboża i siana, do składzików zwożono zapasy węgla i kiziaku. [Kiziak - to były okrągłe wielkie „placki” stłoczone z nawozu krowiego lub końskiego, które służyły na podpałkę].

W domu zimą było zawsze ciepło. Kirgiz - piastun palił w piecach i zabawiał dzieci „pożarami aułu”. Jeden z pieców ogrzewający pokój dzienny i jednocześnie pokój Kai, miał wielkie palenisko od strony sieni. Na brzegu tego paleniska Kirgiz ustawiał zrobione z papieru małe jurty, i zawsze któraś z iskier wywoływała pożar. Dzieci spędzały z nim wiele wieczorów. Szczególnie po powrocie z zabaw na zewnątrz, gdzie zimą mróz sięgał -40 stopni Celsjusza, chętnie siedziało się w domu. Piastun snuł różne opowieści, nie wszystkie dzieci rozumiały, ale atmosfera tych opowiadanych historyjek była zwykle tajemnicza.

Na Boże Narodzenie w dużym pokoju ustawiało się drzewko topoli. Okoliczne góry nie były porośnięte iglastymi drzewami, dopiero dużo dalej, w niedostępnej zimą

dolinie, rosły świerki i jodły. Święta przy topoli, która o tej porze roku miała już lepkie dość duże pąki, były obchodzone uroczyście i z zachowaniem wszelkiej tradycji. Drzewko było ubrane wycinanymi przez Ojca papierowymi konikami, ptakami, lepionymi przez dzieci kolorowymi łańcuchami, z aniołem na czubku, piernikami i orzechami zawieszonymi w siateczkach zrobionych z bibułki. Drzewko obłożone płatami waty imitującej śnieg błyszczało migając dziesiątkami świeczek z Chin. Prezenty dla dziewczynek to były wspomniane wcześniej skośnookie lalki szyte ze szmatek z główkami z celulozy. Były też wycinanki ojca, który miał duże zdolności plastyczne i potrafił dzieci obdarowywać pięknymi wytworami z papieru. Ojciec obdarzony pięknym głosem śpiewał kolędy. Stół był nakryty białym obrusem, pod nim leżało siano. Na stole na talerzyku był domowej roboty, wypiekany w domu cieniutki opłatek. I obowiązywało trzynaście potraw. Ryby sprowadzono łowione z odległego Irtysza i niedalekiego, oddalonego o około czterdzieści kilometrów jeziora Zajsan. Były faszerowane, smażone, królowały szczupaki i białuga w galarecie. Były też karasie i inne jesiotrowate. Była zupa grzybowa z uszkami, kutia, łamańce, kisiele, kompoty i torty Mamy. Bronisława wypiekała wspaniale torty biszkoptowy, orzechowy i inne z dodatkami miodu i maku.

Na co dzień atmosfera w domu była zdrowa ludzi czynnych, życzliwych sobie. Ojciec był zazwyczaj spokojny i łagodny. Kaja nie pamięta, by mówił ostrym czy podniesionym głosem. Matka zaś była energiczna, czynna i zwykle w dobrym humorze. Kaja nie pamięta żadnych pieszczot ani wielkich serdeczności. Traktowano dzieci jak dorosłych, serio, życzliwie, obowiązywała prawda, odpowiedzialność i posłuszeństwo. Nie było także żadnych uciążliwych ograniczeń. Dzieci były uczone samodzielności i obowiązkowości.

Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt nie wiedział gdzie zaginęła, poszukiwania trwały wiele godzin. Dziewczynkę szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce około trzech kilometrów od domu stary Piastun, Kirgiz schodzący z gór.

„Co tutaj robisz?” zapytał.

„Idę zobaczyć szeroki świat”, odpowiedziała.

Ta rezolutna odpowiedź dziewczynki była chętnie powtarzaną opowieścią przez

wszystkich członków rodziny.

Kaja starsza od Wiki o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu, były wciąż dziecinne, a starszych nie pociągały takie wyprawy, jak po wspomniane korzenie lukrecji. (...)

Jesienią cała rodzina Iljinowie wyjeżdżali na pasznię. Było to pole, gdzie rosły arbuzy i dynie i o ile Kaja dobrze pamięta - pszenica. Żyta nie uprawiano i Bronisława tęskniła za żytnim pieczywem. Rosły za to właśnie olbrzymie melony i arbuzy. Melony były soczyste, słodkie i wonne. Arbuzy się solilo i kisiło, podobnie jak kapustę, mniejsze dodawało się do kiszanej w beczkach kapusty. Z paszni przywoziło się już dojrzałe arbuzy i dynie. Sprawdzało się dojrzałość owoców w ten sposób, że nacinało się i wyjmowało trójkątny stożek, patrzyło, czy był czerwony i gotowy do spożycia. Gdy owoce były wciąż niedojrzałe, wkładało się wycięty trójkąt z powrotem i zrastał się on z całością. Dopiero przy zbiorach można było dostrzec jakby pozostawioną bliznę.

Pasznie były nawadniane rowami z wodą ze źródeł górskich. Deszczy latem nie było. Kaja nie pamięta, czy wśród warzyw koło domu były ogórki, ale na pewno były pomidory. Z jagód i owoców pamięta poziomki i uruk, słodki owoc wielkości dużego włoskiego orzecha i renglody z dużą pestką i bardzo słodkim miąższem. Jadło się je zwykle podsuszone jak rodzynki.

Mama robiła przetwory z poziomek, a z owoców dzikiej róży tzw. pastilę. Była to gęsta marmolada, smarowana na płasko na arkuszach papieru lub deskach grubości około dwóch centymetrów, którą suszyło się na płaskim glinianym dachu, by potem zdejmować całe arkusze tego przetworu i kroić w kostkę - były pyszne jak cukierki. Dzieci łasowały w spiżarni i z rulonów pastili urywały kawałki, co było o wiele smaczniejsze niż krojona kostka. Nigdy już w życiu nie spotkała takich owoców, jak w Zajsanie. (...)

Polaków z Sybiru łączyły wydarzenia historyczne, surowy klimat i niełatwa codzienność. Stawali się twardzi i zahartowani na niedole i braki, a także wrażliwi i otwarci na wszelkie nieszczyście innych. Ponoć Sybiracy, to ludzie wielkiego serca i honoru, którzy mają w sobie potrzebę i gotowość niesienia pomocy drugiemu

człowiekowi. Na Syberii podróżni, pokrzywdzeni i głodujący spotkają się z uprzejmością i pomocą w myśl zasady – dzisiaj w biedzie ty, jutro mogą być ja.

Kaja z Altaju wyniosła zaufanie do ludzi, poczucie bezpieczeństwa, pełnię swobody. Zapamiętała, że wszyscy wkoło byli uczciwi, życzliwi, pomocni w potrzebie. Nie było zamkniętych domów, żadnych nawet zamków pod klamkami. Co za luksus żyć bez kluczy i zamków. Domy były otwarte jak jurty, tylko wewnątrz gdzie nie gdzie „zaszczepki” (dzisiejsze haczyki). Duży dom w Zajsanie także nie miał zamków, drzwi zamykało się na klamki. Pierwsze kradzieże przysły z rewolucją, która w okolice Zajsana dotarła z końcem 1921 roku.

Po latach Kaja powie, że okres dzieciństwa wydaje jej się szczególnie beztroski i szczęśliwy. Czas upływał radośnie, a swoboda i przestrzeń kształtowały charakter. Tak było do wspomnianego wyżej 1921 roku, kiedy do Dżungarii dotarł bolszewizm.

Kaja pamięta, że gdy kiedyś przejeżdżali przez mostek na rowie w stepie zobaczyła siedzącego pod nim nieżywego Chińczyka z oskalpowaną głową. Widok był straszny! Był to sygnał, że bolszewicy są wkoło, bo oni właśnie tak „polowali” na Chińczyków.

Polacy wiedzieli, że muszą uciekać. W domu od jakiegoś czasu organizowano konne przerzuty mężczyzn przez pustynie Gobi na wschód. Gdy przyszli bolszewicy zaczęli wyłapywać ludzi, zaczęły się przesłuchania. W domach polskich urządzano jakieś mityngi. Rodzina z Barnaułu – Babunia i ciotki – wróciły do Polski wcześniej i zamieszkały w Białymstoku. Mieszkająca w dalekim Zajsanie pięcioosobowa rodzina Ilijnow z najmłodszą czteroletnią Wiką żyła dalej normalnym trybem, ale zaczęli oficjalne starania o powrót do Polski. Formalności było dużo i długo trwało ich załatwianie. Przygotowywali się do wyjazdu starannie robiąc zapasy na drogę. Gdy wszystko było gotowe, wyruszyli w wielką, wręcz koszmarną podróż trwającą prawie rok.

Fragment książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, wyd. Muza, Warszawa 2006.

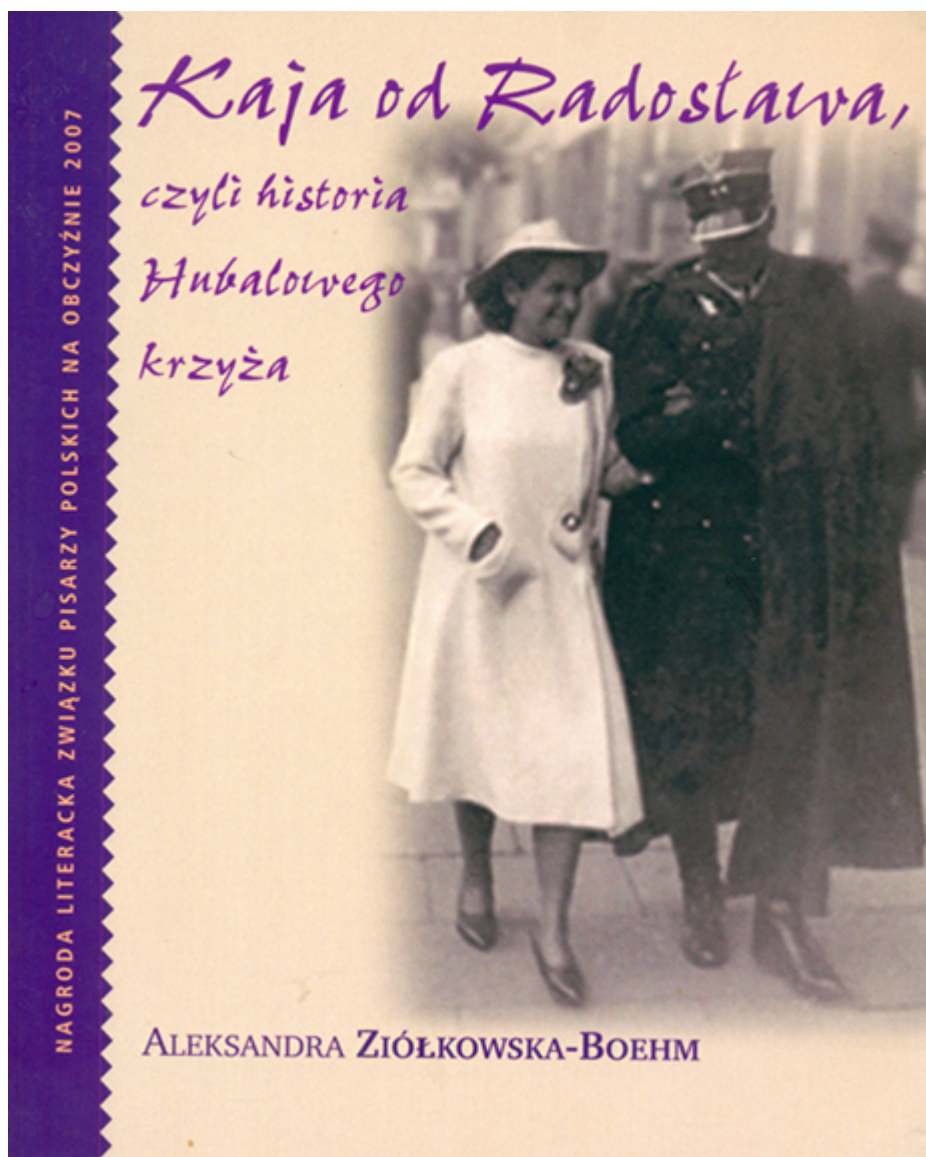
Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża”:

<http://www.cultureave.com/kaja-od-radoslaw-a-czyli-historia-hubalowego-krzyza/>

Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Rozmowa z pisarką Aleksandrą Ziółkowską-Boehm



Drugie wydanie książki

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Warszawskie wydawnictwo Muza wydało Pani książkę pt. „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (pierwsze wydanie w 2006 r.). Książka jest tak napisana, że stała się bestsellerem. Ma dwa wydania w języku polskim i dwa w angielskim, interesujące recenzje, dostała nagrodę.

Czyta się ją jednym tchem. Przepiękny, literacki język, niemal filmowe opisy przyrody, pozornie nieistotne, ale stwarzające koloryt chwili i zbliżające nas do bohaterki szczegóły z życia codziennego, pasjonująca opowieść o życiu zwykłym i niezwykłym, wiele faktów historycznych, zbadanych przez Panią i drobiazgowo opracowanych, wszystko to musi zapaść w serca i umysły

czytelników, a jednocześnie dać duży bagaż wiedzy historycznej.

Proszę powiedzieć, co Pani czuła po napisaniu tej książki?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Książką tą spłacałam swoisty dług wobec zaprzyjaźnionej ze mną od ponad 30 lat wspaniałej kobiety, i wobec szczególnego wpojonego mi obowiązku czy potrzeby, że należy dzielić się czymś dobrym, interesującym, by ocalić od zapomnienia.

Książka ta ma w zapleczu trudną polską historię ostatnich ponad 90 lat, bo tyle lat miała moja bohaterka, gdy o niej pisałam. Posuwając akcję i wydarzenia historyczne do przodu sięgałam po fragmenty książki historyka Marcina Kuli „Zupełnie normalna historia, czyli Dzieje Polski”.

Na końcu swojej opowieści o Kai od Radosława napisałam:

„...Patrząc na życie Kai, zdumiewała mnie jej swoista zaradność, to, że nie zatraciła ambicji, radości i woli życia. Przeszedłszy gehennę wojny, więzienie i obóz, stała się osobą twórczą, żywotną, a przecież zmagająca się także z chorobami, problemami ze zdrowiem. Swoje życie ocenia pozytywnie. ...Czy urodziła się „w czepku”, i wszystkie nieszczęścia, które ją spotykały umiała pokonać? Czy to sprawa charakteru i woli życia? Myślę, że ludzie różnią się między sobą tym, jak radzą sobie z problemami i jak z nimi walczą. Czy je przygniotą, złamią, czy dadzą powód do usprawiedliwiania, dlaczego życie było takie a nie inne, czy też zahartują, utwardzą, wzniosą, dadzą poczucie własnych możliwości, wyrobią charakter”.

Dlaczego wtedy, w latach okupacji, nie opuszczała jej wesołość i optymizm? Napisałam mi na karteczce:

„Była wszędzie śmierć i rozpacz. Ale była i nadzieja i niczym nie dająca się zahamować radość życia dwudziestu kilku lat. Godzina policyjna i codzienne oczekiwanie, czy wrócą ci, co wyszli rano. Zaciemnienie i niebieskie płomyki w zapalonych kielichach. Patefon, ulubione „Sans Toi” i bomby. Powroty z akcji. Telefony, telefony, telefony. I niedzielne wędrówki w lasy. Róże i rany”.

...Czyli radość życia daje nie dająca się niczym zahamować młodość i beztroska dwudziestu kilku lat? ...A później, do nas, wszystkich (- brzmi to jak stara i

niemodna płyta) należy dbanie o terażniejszość, by następnym pokoleniom lepiej się żyło. Zostajemy na straży przeszłości i staramy się ją uporządkować, jak ja to właśnie robię snując swoją opowieść o Kai od Radosława, dzielnej, dumnej dziewczynie, którą kształtował „szeroki świat”. Tak kiedyś powiedziała jej siostra, która mając trzy lata zaginęła w górach Altaju w Dżungarii i odpowiedziała Kirgizowi, że poszła zobaczyć „szeroki świat”...

Tak pięknie pisze Pani we wstępie o przyjaźni, która łączyła Panią z Kają (Cezarią Iljin-Szymańską), „tą od Radosława” (zgrupowanie AK „Radosław” w Powstaniu Warszawskim), o wieloletniej wymianie myśli, spostrzeżeń, różnych życiowych historii i pomyśle na książkę, który przyszedł po wielu latach. Jak to jest, gdy pisze się czyjąś biografię?

Każdy z nas ma historię do opowiedzenia. Zacytowałam we wstępie przekazane przez Isaaka B. Singera „przesłanie dla pisarzy”: pisać, kiedy się ma *story to tell*, potrzebę opowiedzenia tej właśnie historii, pasję i przekonanie.

Nie napisałam typowej biografii, napisałam opowieść historyczną na podstawie życia konkretnej osoby. Jest to opowieść historyczna, bo właśnie wydarzenia historyczne wywarły – jak na wielu innych – duży wpływ na życie mojej bohaterki. Dzieciństwo na Syberii, szkoła w Wilnie, studia architektury w Warszawie, okupacja w Warszawie, Powstanie Warszawskie, obóz NKWD w Ostaszku i odbudowa Warszawy, w którą moja bohaterka – ceniona architekt – była czynnie włączona.

Pokazałam te momenty z życia mojej bohaterki, które uznałam za charakterystyczne i szczególnie interesujące. Chciałam pokazać dzielnego człowieka, kobietę, której nie złamało życie, która wciąż jest ciekawa świata i ludzi, zawsze była dzielna i czynna. I pełna szczególnego optymizmu. Jak się mówi po angielsku *she is bigger than life*.

Aby opisać życie Kai wybrałam formę literackiej opowieści, ze scenami, dialogami, z przywoływaniem zaplecza historycznego. Wstawiam swoje własne opisy, odczucia, wrażenia, komentarze. W przypisach daję objaśnienia.

Podobnie napisałam kiedyś opowieść o Romanie Rodziewicz: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala”.

Czy literatura faktu przeżywa obecnie rozkwit?

Absolutnie tak! Wańkowicz by się cieszył. Biografie, monografie, opowieści historyczne są obecnie bardzo popularne, w ogóle literatura faktu zdominowała rynek księgarski. Wystarczy wejść do księgarni (myślę o amerykańskich księgarniach) i zobaczyć, jakie książki wystawiane są w dziale nowości. Podobnie współczesny film oparty jest często na życiu prawdziwej osoby czy na prawdziwym zdarzeniu. Myślę, że XXI wiek będzie należał do literatury faktu. Dobrze by było, by nagrodę Nobla dostała książka *non fiction* (przed laty nominowany był Ryszard Kapuściński).

Współczesny czytelnik jest głodny prawdziwych wydarzeń, nie ma czasu na fikcję. Piszę o tym w eseju: " Literacki reportaż, opowieść, czyli literatura faktu", który ukazał się w Stanach w nowojorskim kwartalniku „The Polish Review” i w książce „Untold Stories of Polish Heroes From World War II”. Po polsku fragmenty mają się ukazać w londyńskim „Pamiętniku Literackim” i całość w książce „Pisarskie delikcje”, którą wydaje Bellona.

Za zainteresowaniem czytelniczym podąża rynek wydawniczy, tak więc i wydawcy chętniej wydają książki literatury faktu.

Patrząc na rynek amerykański wydaje mi się, że tak właśnie jest. Przykładem może być James Frey, autor wyróżnionej przez Oprah Winfrey książki „A Million Little Pieces”, która została bestsellerem jako opowieść wspomnieniowa z jego życia. Jak się dość szybko okazało, taką nie jest, autor wstawił wiele nie swoich wydarzeń, przejawskrawił inne. Frey tłumaczył się, że kiedy przyniósł maszynopis wydawcy jako powieść, ten mu ją odrzucił, ale powiedział, że zainteresowany byłby, gdyby była to książka biograficzna. James Frey przerobił ją i napisał w pierwszej osobie, jako opowieść o swoim życiu. Książka została wydana i wywołała wielkie poruszenie. Kiedy okazało się, że jego życie nie było aż tak trudne i fascynujące jak jest w książce, powstał swoisty skandal.

Ale to już jest inny temat.

KAIA, HEROINE OF THE 1944 WARSAW RISING



ALEKSANDRA ZIOLKOWSKA-BOEHM

Amerykańskie wydanie książki.

Powracając do książki o Kai od Radosława. Jak się Pani do niej przygotowywała?

Przede wszystkim musiałam zrobić *research* dotyczący czasów i przestrzeni, które przywołuję. Czytałam książki historyczne, pamiętniki, wspomnienia. Uzgadniałam wszystko, co mogłam ustalić. Na przykład moja bohaterka zapamiętała z dzieciństwa na Syberii, że Barnaul miał kopalnię złota. Sprawdziłam, że to była kopalnia srebra.

W pierwszej części książki piszę o dzieciństwie Kai na Syberii, o kolonii polskiej, ludziach, którzy tam żyli w wielkiej symbiozie. Sprowadziłam z Polski książki znawcy tego tematu, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, Antoniego Kuczyńskiego. Potem sam mi przysłał monografię poświęconą Bronisławowi Piłsudskiemu, który był

bratem marszałka. Jest to postać wybitna. Piłsudski za udział w zamachu na cara Aleksandra II skazany został na śmierć, potem zamieniono wyrok na 15 lat zesłania na Sachalin. Jego osiągnięcia naukowe stworzyły podstawę do badań etymologicznych i językowych ludów rosyjskiego Dalekiego Wschodu, plemion Syberii: Ajnów, Gilaków, Niwchów, Oroków i Mangunów. Kolejno - wraz z Wacławem Sieroszewskim - udali się na badania kultury Ajnów na wyspie Hokkaido (wówczas zwanej Yesso).

Przywołałam w swojej książce Polaków, którzy na Syberii dokonali wielkich badań, ich imionami nazwane są tam góry, doliny i miasto.

Podobny *research* zrobiłam do kolejnych lat - czasów okupacji w Warszawie, Powstania Warszawskiego.

Sprawdzałam wiele podanych informacji dotyczących lat powojennych, nawet dotyczących dalekiej rodziny Kai. Jeden z kuzynów uchodził za bohatera, bo wysadził pomnik Stalina na Śląsku. Sprawdziłam i żadnego pomnika Stalina na Śląsku nie było. Drugi miał pracować jako dyrektor radia w Katowicach. Moi znajomi sprawdzili, dostałam listę wszystkich dyrektorów radia od wojny, nie było tam jego nazwiska.

Więc takie różne opowieści należy podawać ostrożnie.

Kaja po wojnie wiele podróżowała. Mój mąż Amerykanin zareagował na to zdziwieniem. - Jak to, to w Polsce komunistycznej ludzie jeździli na wycieczki za granicę?... Musiałam ten temat bardziej zbadać, bo wiedziałam, że takie pytania nie on jeden będzie zadawał. Dotarłam do interesującej książki Pawła Sowińskiego „Wakacje w Polsce Ludowej” (Wydawnictwo Trio). Autor z tego tematu doktoryzował się u profesora Marcina Kuli.

„Kaja od Radosława” ma blisko 100 przypisów i dołączoną bibliografię.

Książka zawiera też bogaty zbiór fotografii.

Ustalałam je z graficzką i autorką okładki, Maryną Wiśniewską. Dostałam zgodę Bohdana Bułhaka na druk zdjęć zburzonej i potem odbudowanej Starówki warszawskiej jego słynnego dziadka, Jana Bułhaka; zdobyłam piękne fotografie z

Powstania Warszawskiego Wiesława Chrzanowskiego (o którym piszę w książce wydanej pt. „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści” (Wydawnictwo Iskry). Cześć zdjęć miałam w swoim archiwum, a wszystkie własne i rodzinne dostarczyła mi bohaterka.

Książka ma ciekawą szatę graficzną, zdjęcia są wkomponowane w tekst. Są w niej także rysunki Kai - obozu w Ostaszkowie, kolonii polskiej w Ałtaju, i inne.

Książka ma piękne recenzje i głosy. Pisali je m.in. Krzysztof Masłon, Anna Bernat, Janusz Paluch, Krzysztof Zajączkowski, Hanna Karp, Anna Malcer-Zakrzacka, Katarzyna Sipko, Elżbieta Nowak, Regina Wasiak-Taylor, Krystyna Koniecka. W drugim wydaniu „Kai” na końcu książki przytoczone są wybrane fragmenty. Cezary Chlebowski w „Tygodniku Solidarność” napisał: „Lektura pisarstwa pani Oli to istna uczta duchowa. To nie tylko wędrówka po wydarzeniach, ale i ich konsekwencje, bo autorka ma rzadki dar wyszukiwania białych plam w sprawach - zdawać by się mogło - powszechnie znanych. Jej pisarstwo (a jest to - obok „Kai” - także „Blisko Wańkowicza”, „Kanada, Kanada”, „Podróże z moją kotką” oraz piętnaście innych tytułów) cechuje wielka przestrzeń we wszystkich wymiarach. Choć pisze o sprawach polskich, nadaje im preriowy koloryt” . Fragmenty książki były też drukowane w kilku pismach.

Prof. Antoni Kuczyński wydrukował jeden w wydawanym przez Uniwersytet Wrocławski i Związek Sybiraków piśmie „Zesłaniec”. Inny - dotyczący Powstania Warszawskiego - wydrukował jezuicki „Przegląd Powszechny”, jeszcze inny - krakowski „Dziennik Polski” i nowojorski „Przegląd Polski”.

A jak sama bohaterka - Kaja od Radosława - przyjęła tę książkę?

Gdy pierwsze egzemplarze były gotowe, współwłaścicielka Wydawnictwa Muza, Małgorzata Czarzasty, osobiście zawiozła książkę mojej bohaterce. Jak ładnie!

Po lekturze Kaja przysłała mi liścik:

„Kochana Oleńko! Książka jest piękna, brak mi słów żeby wyrazić swój zachwyt. Dziękuję Ci z całego serca, że jest tak prawdziwa jak jestem ja sama. Ciągle jeszcze

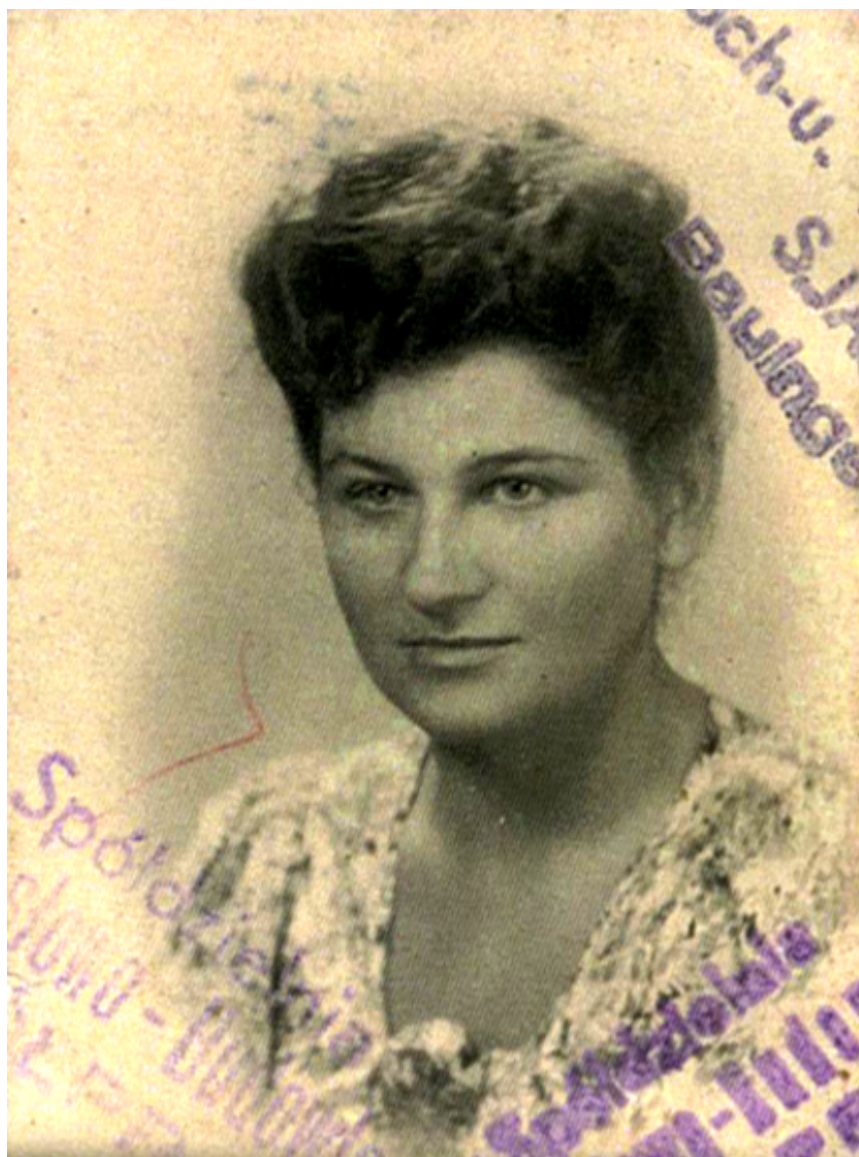
nie mówię, że byłam, bo nadal ciągle jestem i bardzo chcę się z Tobą zobaczyć. Całuję Cię serdecznie i czekam, Kaja”.

Czy autor książki pt. „Oddział majora Hubala” Marek Szymański, to mąż Kai?

Tak, to jej mąż. Marka Kaja знаła od czasów okupacji. Podobnie jak jej brat, Modest Iljin – pseudonim „Klin”, był żołnierzem Hubala.

Marek Szymański to był bardzo dzielny człowiek, Kapitan saperów Armii Krajowej, używał pseudonimów „Sęp”, „Rafał”, „Czarny”, dowódca piechoty w oddziale majora Hubala, uczestnik Wywiadu Wschodniego KG ZWZ OSR, II Północ-Wilno, Oddziałów dyspozycyjnych Kedywu KG AK, Kompanii Warszawskiej w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Baonu „Czata 49” Zgrupowania „Radosław” w Powstaniu Warszawskim. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, 4-krotnie Krzyżem Walecznych. Markowi Szymańskiemu poświęcona jest tablica wmurowana w warszawskiej katedrze polowej na ulicy Długiej.

W książce „Kaja od Radosława” cytuję jego wspomnienia, gdy w czasach stalinowskich siedział w więzieniu we Wronkach. Miałam zaszczyt znać i Kaję, i Marka.



Kaja w okresie okupacji.

Co się stało z Kają po upadku Powstania Warszawskiego?

Kaja po Powstaniu Warszawskim, ranna, z wielkimi trudnościami pojechała do babci w Białymstoku. Tego samego dnia przyszło NKWD i ją aresztowało. Niebawem wywieziono ją do obozu NKWD w Ostaszku. ...Była w sandałkach, takim „ludzkim węzem”, gęsiego, szła z innymi po śniegu.

Wróciła do Polski jesienią 1946 roku z tyfusem, malarią, ważąc 38 kilogramów. Spotkali się z Markiem i już się nie rozstawali. Dzielni oddani Polsce ludzie.

W książce o Kai piszę także o Stanisławie Skalskim, wybitnym słynnym lotniku, który wrócił po wojnie do Polski. Jest tam też fotografia z naszego spotkania w warszawskim mieszkaniu.

W książce obecna jest legenda Majora Hubala. Nie jest to pierwsza Pani książka, w której obecna jest historia związana z oddziałem Henryka Dobrzańskiego. Napisała Pani książkę opartą na losach jednego z Hubalczyków Romana Rodziewicza pt.: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala”, miała trzy wydania (Kraków 1983, Warszawa 1986, 1997; i kolejne - uzupełnione w wyd. Iskry w 2012 roku w tomie „Lepszy dzień nie przyszedł już”).

Za opowieść o Rodziewiczu otrzymała Pani doroczną nagrodę w dziedzinie literatury („Creative Nonfiction”) przyznaną przez Delaware Division of the Arts w 2006 roku. Jedną z jury, autorka książek i wykładowczyni “creative writing program na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, Suzan Sherman tak napisała o tej książce: *The narrative is immediately gripping and compelling - the reader feels in the moment from the first sentence without it even becoming “sensationalizing”. The competent, even tone is perfect for subject matter describing such horror.* Takie książki dotyczące polskiej historii, wydawane w Ameryce obalają wiele stereotypów, wynikających z niewiedzy. Jak zostało przyjęte tłumaczenie „Kai od Radosława”?

Książka ukazała się w Stanach pod tytułem „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” miała dwa wydania (Lexington Books, 2012, 2014). Recenzje (są na tylnej okładce) napisali, między innymi Zbigniew Brzeziński, Charles S. Kraszewski, Stanley Weintraub, Anna M. Cienciala, Karl Maramorosch. Interesujące obszernie omówienie podano w brytyjskim „Reviews in History”.

W 2007 roku „Kaja od Radosława” dostała nagrodę najlepszej książki roku londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Cytuję: „Jury Związku Pisarzy przyznało Nagrodę Literacką Aleksandrze Ziółkowskiej- Boehm za książkę napisaną z prawdziwą pasją i życzliwością do świata, za celny wybór bohaterki, której koleje życia odzwierciedlają pogmatwane i dramatyczne losy naszej ojczyzny”.

Jury: Krystyna Bednarczyk-przewodnicząca, Magda Czajkowska, Juliusz Englert, Andrzej Krzeczunowicz, Anna Maria Mickiewicz, Krzysztof Rowiński, Nina Taylor-Terlecka, Regina-Wasiak Taylor- sekretarz. Czym dla Pani było

to wyróżnienie?

Bardzo się ucieszyłam. Żal mi było, że moja bohaterka nie doczekała londyńskiej nagrody; nie doczekała także amerykańskiego wydania książki.

W 2006/2007 była Pani stypendystką Fundacji Fulbrighta na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie ukazała się „Kaja od Radosława”... Uczestniczyła więc Pani w promocji książki.

Przebywałam dwanaście miesięcy w Polsce jako „Fulbright scholar”. Towarzyszył mi mój mąż Norman. Oczywiście, bardzo cieszyłam się z tego stypendium. Przy okazji uczestniczyłam w promocjach książki - miałam spotkania autorskie w różnych miejscach, o których potem opowiadałam Kai. Była niestety już zbyt słaba, by w nich uczestniczyć.

Zmarła 17 lipca 2007 roku. Byłam na jej pogrzebie na warszawskich Powązkach. Była grupa jej przyjaciół, a także wydawca książki, Małgorzata Czarzasty.

Kaja zapisała Pani miejsce w swoim grobie na starych warszawskich Powązkach. To chyba wielki dowód wdzięczności bohatera książki dla autora, największy, jaki sobie można wyobrazić.

To niezwykle dowód wdzięczności.



Grób Kai na Powązkach.

Miała też Pani niezwykle spotkanie z dziećmi, które zainscenizowały fragmenty Pani książki i je zilustrowały. Proszę o tym opowiedzieć.

Kilka lat po śmierci Kai zostałam zaproszona z jej kuzynką Małgorzatą Szemiot-Zoll do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Słabosłyszących Nr 15 im. Ottona Lipkowskiego w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej 6.

Odbyło się przedstawienie wykonane na podstawie mojej książki o Kai. Słuchałam i patrzyłam w zachwyceniu. Przed uroczystością obdarowano mnie niezwykłym darem: kopiami około 30 kolorowych obrazów. Całość zatytułowana: *Życie malowane „szerokim światem” – szlakiem Cezarii i Wiktorii Iljin. Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry. Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm “Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża”.*

Na końcu albumu słowa:


Bogate i piękne życie, tyle w nim lekcji historii: historii i patriotyzmu, przyrody i geografii, dobroci i altruizmu. Dziękujemy, wdzięczni wychowankowie.

Każdy obraz ma swój tytuł, zdanie z mojej książki o Kai, imię i wiek malarza.

Jakże piękne jest życie książki, która wywołuje taki szczególny odbiór... Jaka radość dla pisarza... Namalowane przez dzieci obrazy - ilustracje do książki, przedstawienie, które odbyło się w szkole na Zakroczymskiej w Warszawie, było jednym z piękniejszych moich wzruszeń, szczególnych prezentów, które jako autorka otrzymałam.

Wygląda na to, że dała Pani Kai drugie życie, że jej losy nie poszły w zapomnienie, tylko są lekcją dla nowych pokoleń. To wspaniała misja, którą Pani spełniła.

Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm "Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża", fragmenty albumu.



*Życie malowane
"szerokim światem" - szlakiem
Cezarii i Wiktorii Ilijn*

Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry

Prace plastyczne wykonane na podstawie książki:
Aleksandry Żiółkowskiej - Boehm
"Kaja od Radosława
czyli historia Hubalowego krzyża"

Zajsan u stóp Altaju



"Miasto Zajsan"
Edyta, lat 12

"Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę."

Edyta lat 12.

Zajsan u stóp Ałtaju



"Dolina nad rzeką Dzyminiejką"
Ała, lat 11

"Gdy pytam Kaję o obrazy z dzieciństwa, odpowiada mi, że wspomina je jak piękną bajkę."

Ała lat 11.

Zajsan u stóp Altaju



"Kwitnąca czeremcha na stepie"
Karolina, lat 12

"Nad brzegami rzeki rosły rozmaite krzewy, dzikie róże, glóg, darnina. U stóp Altaju rozciągał się step."

"Z jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Altaju
z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dżyminiejką

Karolina lat 12.



"Panorama z rzeką"
Weronika, lat 10

"Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt jej nie widział dokąd poszła, poszukiwania trwały wiele godzin. Dziewczynki szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce jakieś trzy kilometry od domu stary piastun Kirgiz, schodzący z gór.
- Co tutaj robisz? - zapytał
- Idę zobaczyć szeroki świat - odparła."

"Kaja starsza od Wiki prawie o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu."

Weronika lat 10.

Barnauf



"Architektura w Barnaule"
Karolina, lat 12

"W Barnaule zgłosili się do miejscowego kościoła, gdzie dzieci były chrzczone, bo rodzice chcieli zabrać ze sobą do Polski metryki chrztu..."

Karolina lat 12.

Polskie uroki

Kaszuby,
Suwalszczyzna,
Bałtyk,
Tatry



"Jeziora na Suwalszczyźnie"
Joanna, lat 13

"Kaja i Marek urządzali wycieczki piesze po Tatrach, na Suwalszczyźnie, nad Biebrzą i na Kaszubach. Kaja chadzała dużo także z siostrą Wiką i kuzynką. Odbyły wiele wypraw zarówno pieszo jak i kajakami. Dużo chodziły po ziemi kartuskiej i pływały kajakami po jeziorach kartuskich,"

"Wiele lat później Kaja uświadomiła sobie przemianę, jaka zachodziła w jej odbiorze kraju po przyjeździe z Zajsanu. Zawsze widziała wszystko w kolorach i często porównywała miejsca do obrazów malowanych przez Gauguina i van Gogha."

Joanna lat 13.

Okupacja
Powstanie Warszawskie
Obóz w Ostaszkanie

"Krzyż Virtuti Militari
majora Henryka Dobrzańskiego Hubala,
wyjęty ze skrytki w obcasie
po powrocie do wolnej Polski"

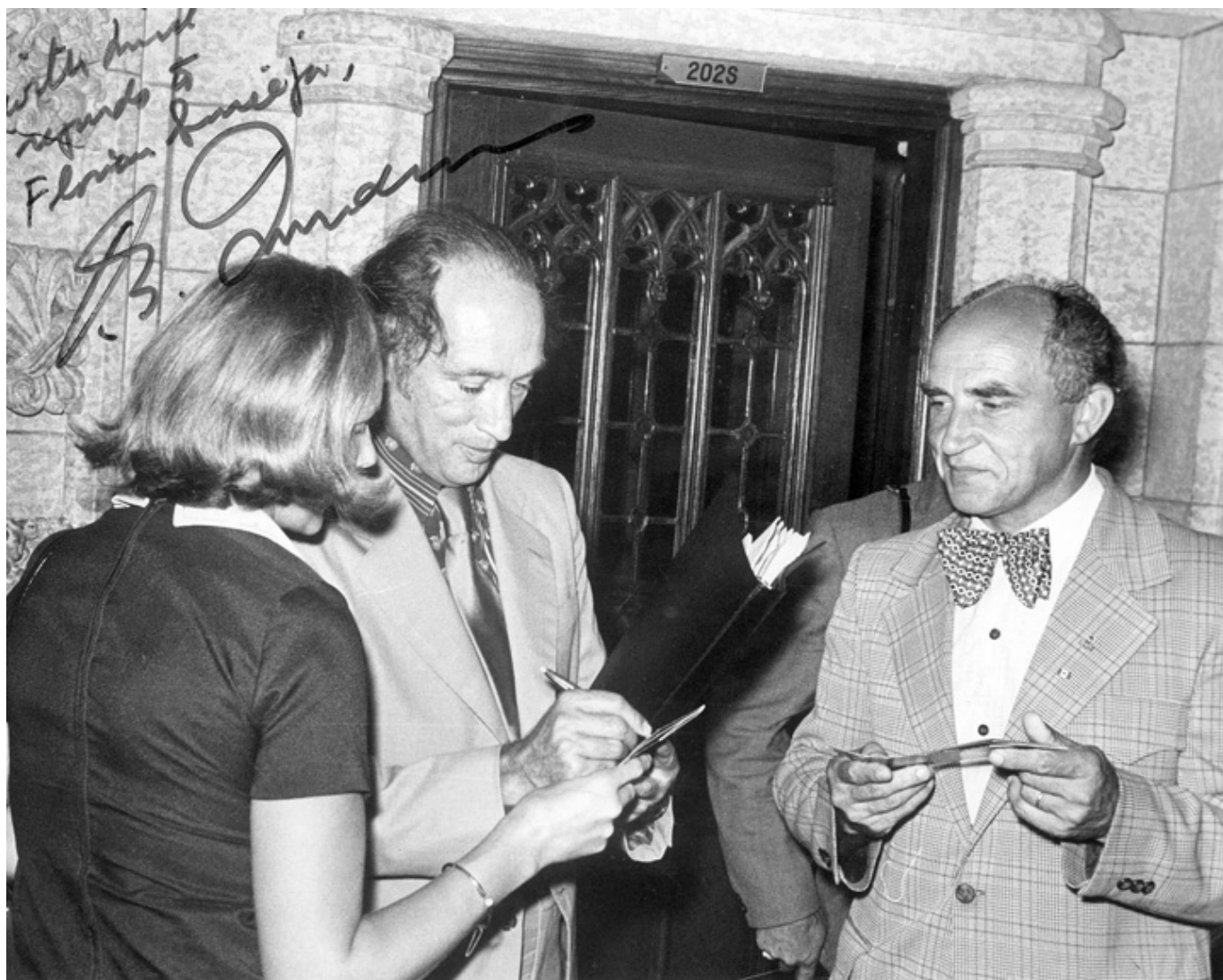


"Krzyż był ze mną pięćdziesiąt cztery lata. Był ze mną pod panterką w Powstaniu Warszawskim, na szlaku bojowym Wola, Sterówka Czerniaków, przeprawa przez Wisłę, szpital polowy w Aninie.... , w czasie wędrówki do Wilna, trafił ze mną do piwnic NKWD w Białymstoku, a potem dz obozu NKWD nr 41 w Ostaszkanie... ."



Fragment książki „Kaja od Radostawa czyli historia Hubalowego krzyża” ukaże się w poniedziałek 17 września 2018 r.

Dwie kanadyjskie migawki



Florian Śmieja (z prawej) z premierem Pierrem Trudeau, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Kiedy mnie pytają o Kanadę i znamienne doświadczenia zachodniej demokracji, cytuję przykład premiera Ontario Johna Robartsa, który przysłał mi powitalny list w kilka dni po moim przybyciu do jego okręgu wyborczego. Drugim probierzem było krótkie spotkanie z premierem Kanady Pierrem Trudeau na korytarzu parlamentu w Ottawie. Zaraz po zaciętym pojedynku na sali, potrafił on wyjść do czekających gości, pogwarzyć z nimi i podpisać autograf.

*

Mój kanadyjski znajomy Richard Newman pisał książkę o Almie Rosé, wybitnej skrzypaczce austriackiej, która zmarła w Auschwitz, będąc tam dyrygentem żeńskiej orkiestry obozowej. Wspomniałem mu o moim przyjacielu, Wojciechu Gniatczyńskim

(1924-1985), który był klarncistą w męskiej orkiestrze tego obozu. Przełożyłem jeden z jego wierszy na angielski i teraz jego słowa powędrowały do pięknej książki *Alma Rosé. Vienna to Auschwitz*. Ciekaw jestem, czy zachowano je również w przekładzie tej książki na hebrajski?

Korespondencja Brzezińskiego i Nowaka

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Autorzy listów Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński to dwie polskie ikony ludzi polityki. Pokazana korespondencja jest czysto służbowa, uważna, skupiona na sprawach Polski i wokół niej.

Wielka troska o Polskę ujmuje i zjednuje czytelnika. Nie ma w tych listach fragmentów osobistych, prywatnych, są od czasu do czasu przekazywane pozdrowienia współmałżonkom. Jest zaproszenie od Nowaka na wakacje zimowe w domku w Alpach austriackich, na które Brzeziński zareagował entuzjastycznie. Dłuższe są wypowiedzi Nowaka, ogólnie jednak swoista powściągliwość tej korespondencji jest zrozumiała i jakby oczekiwana.

Archiwa Jana Nowaka-Jeziorańskiego za jego życia znalazły się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich (przewoziła je Dobrosława Platt), zaś Zbigniew Brzeziński w 2003 roku, i kolejno w latach 2005-2009 swoje archiwa zdeponował w Bibliotece Kongresowej w Waszyngtonie.

Zarówno z Janem Nowakiem (1914-2005, urodzonym i zmarłym w Warszawie), jak i ze Zbigniewem Brzezińskim (1928-2017, urodzonym w Warszawie, zmarłym w Falls Church w USA) w 1991 roku przeprowadziłam wywiady do książki „Korzenie są

polskie". Wcześniej, w 1982 roku, do książki „Dreams and Reality/ Kanada, Kanada” rozmawiałam w Montrealu z ojcem Zbigniewa. Tadeusz Brzeziński (herbu Trąby, syn Kazimierza - z zawodu sędziego) był jedną z najznakomitszych postaci Polonii kanadyjskiej. Urodzony w Złoczowie w 1896 roku, ukończył gimnazjum klasyczne w Przemyślu, studiował na uniwersytetach w Wiedniu, Hadze i we Lwowie. W latach 1918-1921 służył w wojsku polskim, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1921 rozpoczął służbę zagraniczną na placówkach konsularnych w Westfalii i Nadrenii, północnej Francji, Saksonii i Turyngii, na Ukrainie i w Kanadzie. Ostatnią placówką dyplomatyczną była Kanada, gdzie oficjalnie objął urząd konsula 1 listopada 1938 roku i był nim do lipca 1945, kiedy rząd Kanady cofnął uznanie dla rządu polskiego w Londynie. Od 1952 roku dziesięć lat pełnił funkcję prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Był pierwszym Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia w Montrealu, który w 1954 roku kandydował do Izby Gmin. Czynnie włączony był m.in. w powrót arrasów wawelskich i rękopisów Chopina do Polski, apelował do społeczności polonijnej o pomoc w odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie.

Pisząc o ojcu, przypomnę, że po matce, Leonii Brzezińskiej z domu Roman, Zbigniew był kuzynem Andrzeja Romana, znanego dziennikarza warszawskiego (syna brata Leonii, Tadeusza). Leonia Brzezińska (primo voto Żylińska) była córką Leona Romana (herbu Ślepowron).

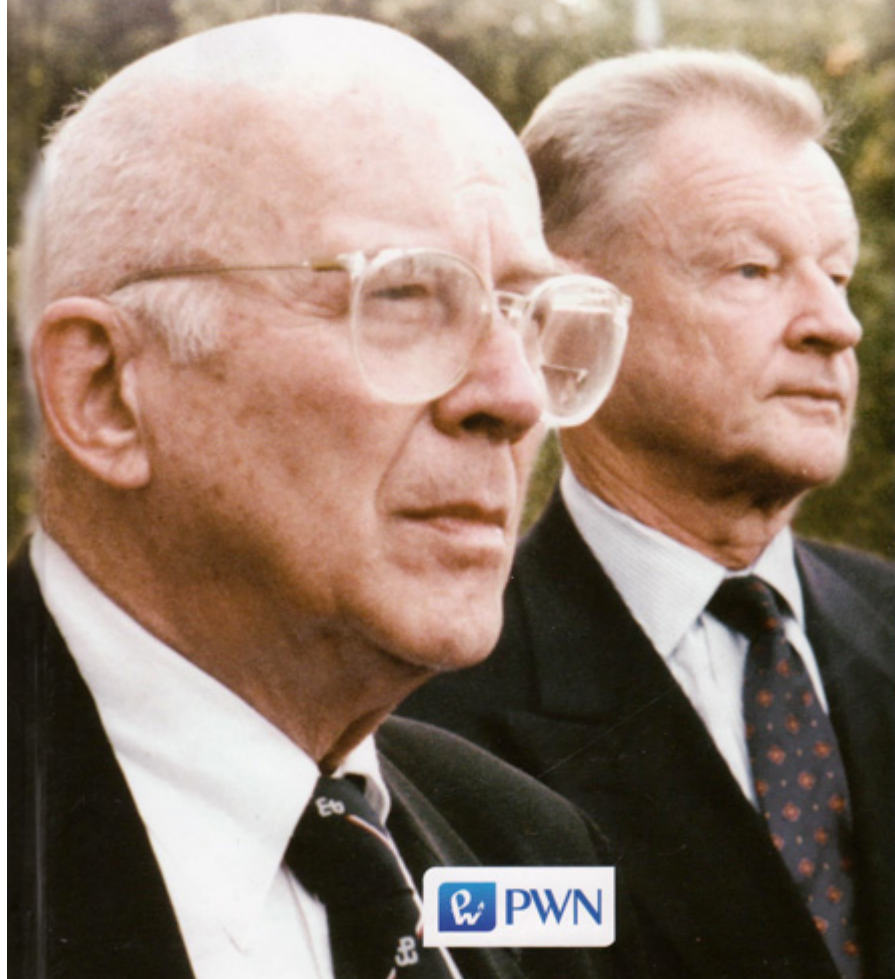
Gdy Tadeusz Brzeziński objął urząd konsula w Montrealu, jego wtedy 10-letni syn Zbigniew był patriotycznie nastawionym chłopcem, jak sam powiedział, nadzwyczaj dumnym ze swego kraju. Kiedy w rok po przyjeździe z rodziną do Kanady wybuchła w Europie wojna, obserwował rozwój wydarzeń z ogromną uwagą, czytał dzienne depesze Polskiej Agencji Telegraficznej, które ojciec przynosił do domu ze swego biura. Powiedział kilku przyjaciołom, że chciałby pewnego dnia zostać prezydentem Polski. Zapamiętał zakończenie wojny. Uczniów wzięto ze szkół i maszerowali wzdłuż głównej ulicy w Montrealu. Wszyscy powiewali flagami, głównie amerykańskimi, brytyjskimi i sowieckimi. Pamięta, że w tej euforycznej radości czuł przede wszystkim smutek. Wiedział, że Polska była okupowana. Po studiach w Kanadzie zamierzał kontynuować studia w Wielkiej Brytanii, po których wróciłby do Kanady i starał się zrobić karierę jako dyplomata. Jednak w ostatniej chwili okazało się, że nie mając obywatelstwa kanadyjskiego, nie mógł skorzystać z uzyskanego stypendium.

W rezultacie zdecydował się studiować w USA na Harvardzie. Otworzyły się przed nim wspaniałe możliwości, jakie oferowała ta uczelnia i w ogóle Stany Zjednoczone.

Jego żona Muszka, pochodzenia czeskiego (z domu Beneš), jest rzeźbiarką. Synowie są włączeni w świat dyplomacji (Marek od 2011 roku był ambasadorem w Szwecji), córka Mika Brzezinski jest dziennikarką, współprowadzi program telewizyjny stacji MSNBC Morning Joe. Jak stwierdził Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński, imponujący swoją niezwykle błyskotliwą inteligencją i darem wypowiedzi, był świetnym przykładem polskiego wybitnego intelektualisty i męża stanu.

Jan Nowak-Jeziorański
Zbigniew Brzeziński

LISTY
1953-2003



Korespondencja Nowaka i Brzezińskiego obejmuje ponad 44 lata, a jej autorzy ogólnie zgadzają się w wielu sprawach. Obydwaj wiedzą np., jak ważną sprawą dla Polski było uznanie granicy na Odrze i Nysie. W 1964 roku Nowak pisze:

Jedyną realną drogą do poprawienia losu Polski jest stopniowa ewolucja systemu i erozja doktryny. Jedno i drugie może odbywać się tylko w warunkach określonych przez Ciebie jako „peaceful engagement”.

Interesujący jest fragment listu Nowaka z 18 lipca 1968 roku, w którym pisze:

Wcisnąłem do ręki Griffitha (uważanego za eksperta od komunizmu - przyp. AZB) naprędce podyktowaną notatkę, której kopię załączam. Zdaje mi się, że wybiłem mu raz na zawsze z głowy „Polish traditional anti-semitism” oraz „Poland’s lack of democratic tradition”.

Na co Brzeziński odpowiada:

Uważam, że Twoja notatka dla Griffitha była majstersztykiem i wzorem świadomości historycznej!

Nowak czyta artykuły i książki Brzezińskiego, omawia je na antenie. Cieszy się wszystkimi wyróżnieniami i honorami pana Zbigniewa, pisząc:

Każdy Twój sukces jest dla mnie źródłem szczerzej i prawdziwej satysfakcji.

Jednocześnie martwi się atakami na Brzezińskiego i krytykowaniem go:

Jest rzeczą zdumiewającą, że żaden zachodni polityk nie jest w tej chwili atakowany w prasie komunistycznej w Polsce z taką zjadłością, jak Ty.

W listach Nowaka raz po raz pojawia się też troska o istnienie Radia Wolna Europa (przeciwnikiem jego istnienia był np. senator James William Fulbright), na którą Brzeziński reaguje zawsze skutecznie. Obaj korespondenci od czasu do czasu polecają sobie osoby mające problem np. z amerykańską wizą wjazdową (m.in. Zygmunta Grossa). Brzeziński wykazuje zainteresowanie historią Polski, konkretnymi osobami, jak generał „Nil”.

W jednym z wywiadów Jan Nowak-Jeziorański podkreślił:

Stany Zjednoczone pozwoliły mi przez wiele lat służyć mojemu krajowi na stanowisku kierownika Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Żadne inne mocarstwo nie zdobyło się na to, by zaofiarować ujarzmionym przez Stalina narodom radiostację nadającą od świtu do nocy, gdzie Polacy mieli pełną

autonomię, możliwość mówienia o sprawach polskich z własnego, polskiego punktu widzenia. Polityka Stanów Zjednoczonych odegrała dużą rolę w procesie przemian w Polsce i w całym tym rejonie. Szczególnie mam tu na myśli tzw. politykę bata i marchewki, czyli z jednej strony sankcje, a z drugiej – perspektywy kredytów politycznie i ekonomicznie uwarunkowanych. Miało to dość znaczny wpływ na wydarzenia w Polsce po roku 1981. Bez tego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie prawdopodobnie wydarzenia po roku 1981 miałyby zupełnie inny przebieg. Jako dyrektor RWE miałem wielokrotnie ostre konflikty z moimi amerykańskimi partnerami, ale uprzytomniły mi, że z Amerykanami można prowadzić spór zachowując niezależność własnego stanowiska. Bo nigdy, nawet w chwilach, które bliskie były konfrontacji, nie usiłowano pozbyć się mnie dlatego, że reprezentowałem inny punkt widzenia i starałem się bronić polskich interesów.

Zastanawiające są fragmenty dotyczące Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”. Nowak pisał w 1968 roku:

Mam wiele szczerego podziwu dla Giedroycia i jego miesięcznika. Wydawanie na emigracji przez blisko ćwierć wieku pisma, utrzymywanego na tak wysokim poziomie, ogłoszenie w tym czasie kilkuset książek, jest osiągnięciem zasługującym na najwyższy szacunek. Toteż usiłuję utrzymać z Giedroyciem możliwie najlepszą współpracę i stosunki, co nie zawsze jest łatwe. Ponieważ miesięcznik z trudem obecnie dociera do Polski – nadajemy specjalne audycje poświęcone obszernym streszczeniom i wyciągom z każdego numeru „Kultury”. Nie mówiąc już o rozgłosie, jaki staramy się nadać każdej nowej pozycji wydawniczej Instytutu Kultury.

Cztery lata później, w 1972 roku, napisze zupełnie inaczej:

Załączam fragmenty wyjątkowo perfidnego artykułu Mieroszewskiego w „Kulturze” z okazji naszego 20-lecia oraz naszą odpowiedź w Na antenie. Przez wiele lat starałem się nie odpowiadać na ataki i złośliwości Giedroycia. Artykuł Mieroszewskiego, złośliwy w treści, a szkodliwy w intencjach, doprowadził nas do ostateczności i desperacji. Przypuszczam, że jesteś dobrze poinformowany, w jaki

sposób i przez kogo finansowana jest „Kultura”. Nieustanne kwestionowanie polskości i patriotyzmu naszego zespołu, dlatego że radio finansowane jest przez Amerykanów, jest w tym kontekście rzeczą absolutnie niemoralną.

Wyjaśnię na temat konfliktu z Giedroyciem, o którym pisze Nowak, udzielił mi Marek Walicki, pracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i sekcji polskiej Głosu Ameryki. Od 1973 – po likwidacji nowojorskiego oddziału Rozgłośni Polskiej RWE – jedyny korespondent nowojorski:

Prawda jest taka, że Komitet Wolnej Europy (KWE) był finansowy w znacznej mierze przez CIA, i „Kultura” czerpała fundusze z tego samego źródła co Radio Free Europe (a więc i ówczesny Głos Wolnej Polski). Nowak był nieformalnym opiniodawcą wniosków Giedroycia (sic!) o pomoc z Komitetu Wolnej Europy, i kopie tej tajnej korespondencji Giedroycia z Amerykanami Nowak zachował. Wiadomo na przykład, że Giedroyc osobiście otrzymywał od KWE 300 dol. miesięcznie, podczas gdy Nowak jako dyrektor otrzymywał (w pierwszym roku działalności radia) 310 dol. miesięcznie. Dotacja (KWE – a więc w drodze dedukcji: CIA) na działalność wydawniczą „Kultury” w latach 50. wynosiła rocznie 75 tys. dol., czyli niewiele mniej niż budżet ponad stuosobowego zespołu polskiego Wolnej Europy! Osobiście sędzę, że choć fundusze pochodziły z tego samego źródła, Giedroyc miał większą niezależność jako redaktor miesięcznika niż Nowak, który kierował radiem i nie krył, bo ukryć by się i tak nie dało, że radiostacja stworzona została i jest finansowana „przez Amerykanów”.

Z rekomendacji Brzezińskiego w 2000 roku uhonorowano Jana Nowaka-Jeziorańskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym odznaczeniem cywilnym Stanów Zjednoczonych Ameryki nadawanym przez prezydenta. Jak pisze Brzeziński, on sam został odznaczony tym medalem w roku 1981, i wcześniej żaden Amerykanin polskiego pochodzenia go nie otrzymał. Można powiedzieć, że Prezydencki Medal Wolności nadał specjalne znaczenie ich przyjaźni.

Warto dodać, że Dobrosława Platt, autorka interesującego wstępu do tej korespondencji, wcześniej opracowała „Listy Jan Nowak, Jerzy Giedroyc 1952-1998” (Wrocław 2001) i dwujęzyczną monografię Jana Nowaka-Jeziorańskiego ze wstępem

ambasadora Jerzego Koźmińskiego „Polska droga do NATO. Listy, dokumentacje, publikacje” (Wrocław 2006).

Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński. Listy 1959-2003, PWN, Warszawa 2014 Wybór, wstęp, opracowanie Dobrosława Platt.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 24 listopada 2015

Smugi rzeczy



Ryszard Sawicki

Smugi rzeczy: drzewa i przydrożne krzewy szybko przebiegają przez pole widzenia.

Są i już ich nie ma. Przemieniają kształty, osobne w rozmyte, podobne we wspólne. Wzrok chwytą sylwetki przedmiotów i niemal w tej samej chwili porzuca. Oczy nie przekazują pamięci niczego dokładnie, pamięć pozostaje pusta. Nie ważne czy tamten pień drzewa pochylony był w prawo czy w lewo, czy gałęzie strzelały mocno w górę, czy opadały ku ziemi, jakby pozbawione żywotnych sił, a tylko ich końcówki sięgały wyżej.

Pociąg jechał od zachodniej granicy ku wschodniej. Zachodnia granica przestała być granicą, została unicestwiona. Wschodnia granica wciąż trwała, ale nie miała trwać już długo. Podróżni pociągu wiedzieli jednak tylko o tym co było za nimi, nie o tym co czekało ich tam, dokąd zdążali. Uciekali od wydarzeń pogranicza, ale nie zdawali sobie sprawy, że ucieczka nie może być w pełni udana. Pęd pociągu i pęd wydarzeń nakładały się na siebie. Widzieli za oknami pędzącego pociągu rozmyte pnie drzew, ale nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że wiele innych rzeczy oglądać będą przez kilka następnych lat podobnie rozmytymi, jakby to były bezkształtne smugi lub cienie rzeczy.

Leszek siedział na stopniach towarowego wagonu, który zajmowali podróżni ze swym dobytkiem. Wagony pasażerskie były przepełnione, było w nich duszno, a w wagonie towarowym, choć pozbawionym ławek, nie brakowało świeżego powietrza. Dni były pogodne i ciepłe, ale noce chłodne, zaczynała się jesień. W nocy drewniane drzwi wagonu zasuwano, wtedy Leszek się krył wśród przedmiotów ustawionych wzdłuż ścian, próbował zasnąć. Celem jego podróży było rodzinne miasto na południowym wschodzie kraju, pociąg jechał jednak na północny wschód. Po drodze miał się przesiąść do innego pociągu, ale nie wiedział, na której stacji uda mu się to zrobić. Nie wiedział, kiedy dojedzie do celu.

Zapatrzony w przestrzeń ku południowi nie starał się dostrzegać dalekich zagajników ani wiejskich zabudowań. Nie starał się zatrzymywać wzroku na tym, co jawiło się niemal trwale pod pogodnym niebem. Podobnie, jak nie starał się doganiać wzrokiem umykających pni drzew, które pociąg mijał w pędzie, tak i tamtym, niemal nieruchomym, oddalonym drzewom, nie pozwalał przyciągać swego wzroku. Pozwalał, aby oczy napełniały się migotaniem światła i cieni i aby pamięć rejestrowała tylko to migotanie. Tak było lepiej, myślał. Lepiej patrzeć na świat nie dotykając niczego szczególnego w tym świecie. Nie dotykając nawet wzrokiem.

Dopiero, gdy następowało gwałtowne zatrzymanie pociągu, a ludzie wyskakiwali przez otwarte lub otwierane z trzaskiem drzwi i biegli w pole, dopiero wtedy, biegnąc razem z nimi, starał się szybko znaleźć bruzdę dla siebie i upadłszy w nią, skryć twarz w wilgotnej ziemi. Wyskakiwał zwykle przed innymi, gdy pociąg był jeszcze w ruchu. Przeskakiwał rów i umykał jak najdalej od pociągu, który stawał się celem lotniczych bomb i serii z karabinów maszynowych nadlatujących maszyn.

Od chwili odjazdu z ostrzeliwanego dworca kolejowego w Poznaniu nie widział nic tak wyraźnie, jak owe miejsca odległe o kilkadziesiąt metrów od toru, ku którym biegł co tchu; miejsca niczym szczególnym nie wyróżnione, a jednak bez wahania wybierane jako miejsca bezpieczne. Leżąc w bruzdzie mocno przyciskał twarz do ziemi, tym mocniej im głośniejszy był gwizd nadlatującej bomby, a potem wybuch. Nie podnosił się od razu, kiedy cichły. Trwał jeszcze chwilę bez ruchu, czekał aż minie lęk. Nie nazywał tego uczucia, ale wiedział czym jest. Nazwane mogło stać się wyraźniejsze, bardziej dotkliwe. Mijało, uchodziło szybko, niemal tak samo szybko, jak człowiek biegnący przez pole w poszukiwaniu schronienia.

Miał piętnaście lat, gdy wojna zaskoczyła go podczas pobytu w obcym mieście. Pojechał do Poznania z rodzinnego Lwowa na zaproszenie starszego brata, Tadeusza. Cieszył się na spotkanie z bratem, zwłaszcza, że nie widzieli się przez ostatnie kilka miesięcy, bo Tadeusz, jako wojskowy pilot-obszernik, nie mógł opuszczać jednostki poznańskiej z uwagi na zagrożenie wojenne. Spotkał się z Tadeuszem, ale nie mogli spędzać ze sobą wiele czasu. Tadeusz był zbyt zajęty sprawami służbowymi na lotnisku w Ławicy. Leszek dostał od brata klucze do mieszkania w centrum miasta przy ulicy Reja numer 1/5 oraz pięćdziesiąt złotych (co wydawało mu się sporą fortuną), a także bilet upoważniający do korzystania z przystani klubu oficerów lotnictwa na pobliskim jeziorze Kierskim.

Nim znalazł się w Poznaniu pod koniec wakacji, Leszek był na półtoramiesięcznym wędrownym obozie harcerskim. Wędrował po Podolu na piechotę, wrócił piętnastego sierpnia opalony, pełen radości i energii. W książce harcerskiej miał wpisane osiemnaście sprawności. Podczas pieszych wędrówek nie pamiętał o nastrojach wojennych panujących w kraju. Dopiero po powrocie do domu zaczął przeglądać nagromadzone gazety. W wydaniu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dwudziestego piątego sierpnia przeczytał komunikat o pakcie przyjaźni zawartym

między sowiecką Rosją i hitlerowskimi Niemcami. Obok artykułu opublikowano zdjęcia Stalina, Mołotowa i Ribbentropa, sygnatariuszy paktu. We Lwowie nie komentowano szeroko tego komunikatu. Groźniejsze wydawały się doniesienia o akcjach dywersyjnych organizowanych na zachodnim pograniczu przez niemieckie bojówki. W tym samym numerze IKC znalazł artykuł, w którym lewicujący młody poeta tłumaczył się ze swego wiersza nawołującego do tego, by lud „rzucił karabiny”, nie przygotowywał się do walki. Wiersz teraz drażnił społeczeństwo przygotowujące się do obrony kraju, więc poeta uważał za stosowne wyjaśnić swoje motywy, które nim kierowały, gdy długo przed trzydziestym dziewiątym rokiem napisał i opublikował tamten wiersz.

Oprócz lektury gazet, Leszek słuchał z rodzicami i starszą siostrą komunikatów radiowych. Rodzice kupili niedawno za poradą Tadzika aparat radiowy „Telefunken”, który odbierał nie tylko polskie, ale i zagraniczne stacje radiowe. Rozgłośnie w Gliwicach i Wrocławiu nadawały po polsku, ale z obcym akcentem, audycje przepełnione agresywną niemiecką propagandą. Szczególnie znienawidzony był spiker znany pod swoim zdrobniałym imieniem: Teofilek. Odczytywał fałszywe wiadomości o rzekomych dezercjach z polskiej armii, przeprowadzał nawet wywiady z ludźmi podającymi się za dezertersów. We Lwowie żartowano, że należy drania Teofilka powiesić na radiowej antenie.

Nie ze wszystkiego można jednak było żartować. Leszek już w 1936 roku, jako uczeń szkoły powszechnej, przeszedł kurs organizowany przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Pamiętał dobrze instrukcje zakładania maski przeciwgazowej. Pani Pasternakówna, instruktor, wystrzeliła podczas kursu pocisk z gazem łzawiącym, a harcerze siedzący w ławkach izby harcerskiej nakładali szybko maski i wkręcali pochłaniacze. Mógł się pochwalić opaską na ramię w kolorach żółtym i zielonym, którą należało nosić, jeśli zaistniałaby potrzeba organizowania dyżurów. Dostał też funkcję gońca w drużynie. Minęło sporo lat od pierwszej wojny światowej, ale w Europie dobrze pamiętano takie nazwy gazów, jak iperyt i fosgen.

W domu przy ulicy Łyczakowskiej postanowiono zakleić okna paskami papieru, by uchronić szyby przed podmuchem powietrza podczas wybuchu bomb. Rodzice polecieli dzieciom, by cięli papier na paski i naklejali je, skrzyżowane, na szyby. Leszek pamiętał o tych paskach na oknach w domu rodziców, gdy leżał w polu

przyciskając twarz do ziemi i słuchając wybuchów bomb. Obraz okien oklejonych papierem krzyżował się z obrazami ulic Poznania, widokami jeziora, po którym pływał kajakiem.

Kiedy zaklejał okna w lwowskim domu rodzinnym, czynność ta wydawała mu się absurdalna, niepotrzebna, a ponadto nudna. List Tadzika zawierał zaproszenie do Poznania, a więc i obietnicę dalszych wakacyjnych przygód. Ucieszył się, że wakacje poza domem nieco się przedłużą, miał okazję zapomnieć o ponurym nastroju. Tadzik był starszy od Leszka o dwanaście lat. Przed wybuchem wojny służył w trzecim pułku lotniczym w Poznaniu. Był porucznikiem-observedorem. Na wiosnę przekonywał jeszcze rodzinę, że do wojny nie dojdzie, powtarzał znane z prasy argumenty, że Niemcy boją się międzynarodowej opinii publicznej, nie będą ryzykować wojny w sytuacji, gdy Polska podpisała sojusze z Anglią i Francją i w razie zagrożenia może liczyć na pomoc sojuszników. W lecie już tak nie pisał. Poprosił Leszka, by przyjechał do Poznania i zabrał jego rzeczy, zawiózł je do Lwowa. Przysłał Leszkowi czterdzieści złotych na tę eskapadę, co młodszemu bratu wydawało się ogromną sumą, gwarantującą dobrą zabawę.

Dwudziestego siódmego sierpnia, ubrany w gimnazjalny mundur z naszytą na rękawie obowiązkową tarczą szkolną na ramieniu, Leszek wyszedł z domu z małą tekturową walizką. Na dłoniach miał piękne rękawiczki *pekari*, które dostał na imieniny, i z których był bardzo dumny. Wsiadł do pociągu w stolicy Podola i po długiej, ośmiuset kilometrowej podróży wysiadł na dworcu w stolicy Wielkopolski. Przejeżdżając przez mosty pociąg zwalniał, wtedy widział żołnierzy, a także strzelców z *maciejówkami* na głowach, którzy zajmowali posterunki na przyczółkach mostów. W Tarnowie nie dostrzegł dworca zrujnowanego przez bombę, którą podłożył dywersant. Przez Górny Śląsk jechał nocą. Za szybą wagonu widział światła huty żelaza położonej blisko torów. Niedaleko była też granica z Rzeszą, ale po wschodniej stronie istniejącej wciąż granicy nic szczególnego się nie działo. Rano przybył do Poznania.

Po wyjściu z dworca skierował się na zachód, w stronę ulicy Reja. Bez trudu odnalazł dom oznaczony numerem 33a, gdzie Tadzik z kolegą Józefem Tomaszewskim wynajmowali mieszkanie. Ulica wydała mu się nieco ponura, nie tak jasna jak ulica Łyczakowska we Lwowie, przy której stała willa wynajmowana przez rodziców. Okna

w mieszkaniu należącym do pani Wicherskiej nie wychodziły na ogród, tak jak okna willi. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że mieszkańcy Poznania także oklejali okna paskami papieru. Ale nie poddał się bynajmniej ponuremu nastrojowi ulicy i mieszkania z zaklejonymi oknami. Nie po to przecież przejechał przez pół kraju, by znów myśleć o czymkolwiek ponurym. Na stole w pokoju brata znalazł kartkę z instrukcjami. Rozgościł się, umył i zjadł posiłek podany przez gospodynię. Tadzik nie mógł go przywitać, bo od kilku dni przemieszkiwał przy swojej jednostce na lotnisku, nie wracał do miasta. Dopiero po południu przyjechał z przyjacielem Tomkiem, kiedy udało im się dostać przepustkę w Ławicy, ale po serdecznym przywitaniu i potwierdzeniu instrukcji zapisanych na kartce, musieli się rozstać.

Przez następne cztery dni, ostatnie dni sierpnia 1939 roku, Leszek chodził po Poznaniu, wyjeżdżał za miasto. Obserwował coraz więcej oznak zagrożenia wojną. Ludzie dokonywali większych niż zwykle zakupów. Pod sklepami stały długie kolejki, wykupywano mąkę, cukier, słoninę. Krążyły wieści o tym, że pieniądze papierowe mogą stracić wartość. Gromadzono bilon, zwłaszcza srebrne monety. Podobno jakiś niemiecki sprzedawca ukrył zapasy żywności, więc tłum przeprowadził szturm na jego sklep. Przechodząc koło tego sklepu widział osmolone drzwi i zdemolowane wnętrza. Nastroje antyniemieckie objawiały się rozmaicie. Gazeciarze sprzedawali papierowe składanki z karykaturami Hitlera. Przejeżdżający ciężarówkami robotnicy wytwórni baterii Centra śpiewali satyryczne piosenki, w których niewybrednymi słowami urągali Hitlerowi.

Mimo rosnącego z dnia na dzień zagrożenia, Leszek nie tracił ducha. Nastrój poprawiło mu zwłaszcza kolejne spotkanie z bratem i jego przyjacielem. Obydwaj lotnicy przyjechali z lotniska ubrani w mundury, z kordzikami przy boku. Dołączyły do nich dwie znajome panie, wyszli w piątkę do miasta. Lotnicy prezentowali się bardzo elegancko. Leszek cieszył się, że też ma mundur, choć był to tylko mundur szkolny. Kiedy weszli do kawiarni „Arkadia” przy Placu Wolności, orkiestra przerwała graną właśnie melodię taneczną i zagrała „Pierwszą Brygadę”, a wszyscy goście siedzący przy stolikach wstali z miejsc i przywitali ich oklaskami. To była szczególna chwila. Leszek nie przypuszczał, że widzi się z bratem po raz ostatni.

Przed odjazdem na lotnisko Tadzik dał Leszkowi jeszcze pięćdziesiąt złotych, na wszelki wypadek, jak tłumaczył. Poinformował go co ma robić, gdyby doszło do

wybuchu wojny. Prosił, by brat zabrał do domu walizkę, w której zapakowane już były rzeczy osobiste, książki i notatki akademickie. Powiedział przed pożegnaniem: „Siedź w Poznaniu póki można, baw się!”

Następnego dnia Tadzik zadzwonił z lotniska w Ławicy do pani Wicherskiej, rozmawiał z Leszkiem przez telefon. Było to trzydziestego sierpnia. Jeszcze nie nakazywał wyjazdu. Ale 31 telefon milczał. Leszek poszedł jeszcze do ogrodu zoologicznego, pływał kajakiem po jeziorze. Gdy wrócił do miasta, na ścianach domów i płotach wisiały porozklejane plakaty mobilizacyjne. Zastanowił się, czy ma wyjeżdżać, lecz decyzję odłożył do piątku, bo i tak mógł zdążyć na zajęcia szkolne, które ministerstwo poleciło rozpocząć 4 września. Była wciąż piękna pogoda.

Pierwszego września pani Wicherska zbudziła go wcześniej rano wołaniem: „Poznań już zbombardowali”. Była bardzo wzburzona. „Czy będą gazy?”, pytała raczej siebie niż gościa. Leszek zapisał w swoich wspomnieniach, że nie słyszał wybuchów, pewnie przespał też wycie syren alarmowych. Szybko zorientował się co robią mieszkańcy budynku. Wszyscy przygotowywali ochronne tampony do założenia na usta i nos w razie ataku gazowego. On też miał taki tampon, przywiózł go ze Lwowa. Teraz wyjął ze swojej małej walizki, by mieć pod ręką. W salonie gospodyni prowadziła nerwową rozmowę z rodziną. Zastanawiali się, czy zostać w mieście, czy jechać do majątku na wsi. W kamienicy funkcjonowały dyżury obywatelskie, mieszkańcy zmieniali się kolejno przy oknach w dachu. Wypatrywali samolotów Luftwaffe. Słuchano radia, przeglądano gorączkowo gazety. Stos gazet leżał na stole u pani Wicherskiej.

Leszek nie zaglądnął do gazet, nie słuchał dłużej rozmowy gospodyni. Wybiegł na miasto. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co, kiedy i gdzie zostało zbombardowane. Krążyły plotki o zrzuconiu bomb gazowych. Na ulicach, którymi szybko przechodził, widział tylko potłuczone szyby, niewielkie uszkodzenia budynków i połamane gałęzie. Bomba upadła na ogród zoologiczny, ale zniszczyła tylko ogrodzenie i drzewa. Po tej wędrówce wrócił na ulicę Reja. Pani Wicherska nie zrobiła zapasów chleba, poczęstowała Leszka twardymi herbatnikami.

Po tym skromnym posiłku postanowił dowiedzieć się jakie pociągi wyjeżdżają do Lwowa. Z Reja do dworca nie było daleko. Za chwilę miał być z powrotem, doczekać

do odjazdu pociągu, zabrać swoją walizkę i walizę Tadzika. Planował, że wyjedzie z Poznania inną trasą niż ta, którą przyjechał. Przecież tamtędy tory biegną bardzo blisko granicy, to zbyt niebezpieczne. Miał zamiar jechać w kierunku Warszawy, po drodze lub w stolicy przesiąść się na pociąg jadący w stronę Lwowa.

Kiedy szukał informacji na dworcu poznańskim rozległ się alarm lotniczy. Wszyscy zbiegli do schronów, które mieściły się w tunelach między peronami. Zapadło milczenie, wsłuchiwano się w dalsze i bliższe wybuchy. Odgłosom wybuchów wtórowały ciche modlitwy.

Samoloty i tym razem nie zbombardowały dworca. „Może odstraszyli ich polscy myśliwcy”, pomyślał. Syreny oznajmiły koniec nalotu, wyszedł więc do holu dworca. Wciąż nie znał rozkładu jazdy, nie mógł zdobyć informacji wśród panującego rozgardiaszu. I znowu rozległo się wycie syren. Nim odwołano drugi nalot, minęła godzina. Jednak i ten nalot nie był ostatnim, ani najgroźniejszym. Najgroźniejszy był nalot trzeci. To wtedy zaczął się modlić razem z innymi. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że znajduje się w najbardziej zagrożonym obiekcie miasta. Strach minął, ale pozostało otępienie, które miało mu towarzyszyć w całej drodze powrotnej. Kiedy wyszedł na peron zapadał zmrok. Obok budynku dworcowego paliły się magazyny firmy transportowej Hartwiga. Blask płomieni oświetlał na czerwono jasne mury dworca kolejowego.

Peron, przy którym się znalazł po wyjściu ze schronu nie był uszkodzony, jednak bomba rozbiła wagon towarowy w składzie, który stał na peronie. Pociąg wypełniony był ludźmi ewakuowanymi z pogranicza i ich dobytkiem. Wszystko, co było zgromadzone w wagonie, pościel, pierzyny, odzież, zostało rozrzucone po peronie. Strzępy płótna i pierze wisiały nawet na gałęziach okolicznych drzew. Leszek rozglądał się dookoła, chodził raz w jedną raz w drugą stronę. Nie wiedział dokąd iść. Pod butami chrzęściło szkło, potykał się o kawałki cegieł i tytku.

Wśród zgiełku usłyszał nagle podawany przez megafony komunikat, że z jednego z peronów odjeżdża pociąg ewakuacyjny w kierunku Warszawy. Podjął błyskawiczną decyzję, pobiegł na właściwy peron, wskoczył w otwarte drzwi wagonu towarowego. Po kilkunastu minutach jechał już na północny wschód. Za sobą zostawiał chaos pierwszego dnia wojny. W pokoju przy Reja została też jego walizka i walizka

Tadzika. Stracił też jesienny płaszcz i piękne rękawiczki, z których był tak dumny. Miał na sobie tylko szkolny mundur z niebieską tarczą na rękawie. Na tarczy naszyty był numer 365. Z tym numerem, w piętnastym roku życia, o godzinie siódmej wieczorem, rozpoczął swoją wielką, o wiele większą niż przypuszczał przed paroma jeszcze dniami, przygodę wakacyjną. „Dnia pierwszego września roku pamiętnego”, jak podpowiada piosenka.

Podróż trwała przez następnych siedem dni. W wagonie, do którego Leszek zdążył wskoczyć, jechała rodzina kolejarza z Międzychodu, stacji granicznej na linii kolejowej Poznań-Berlin. Kolejarze dostali polecenie ewakuacji ze względu na to, że mogli stać się pierwszymi ofiarami okupanta. W wagonie wieźli całe wyposażenie domu, które zdążyli zabrać. Wśród mebli leżały materace, kołdry, pierzyny. Inne wagony towarowe załadowane były podobnie. Kolejarz i jego żona byli w średnim wieku. Mieli dwoje dzieci. Syn był starszy, a córka w wieku Leszka.

Na początku podróży Leszek siedział osobno na stopniach wagonu smutny i zamyślony. Wpatrywał się otępiałym wzrokiem w przestrzeń. Z upływem czasu zaczął rozmawiać z przygodnymi znajomymi. Od nich też dostał pierwszy posiłek. Nie jadł cały dzień, był głodny, ale głód zaczął mu dokuczać dopiero z nadejściem zmroku. Następnego dnia syn kolejarza wypatrzył tuż za lokomotywą wagon wiozący, oprócz zwykłych pocztowych przesyłek, także wielką pakę sera z niemieckiej spółdzielni mleczarskiej na Pomorzu. Z pomocą kilku innych kolejarzy przecięli scyzorykiem deski skrzyni i dobrali się do olbrzymiego, metrowej średnicy kręgu gołubskiego sera. Przez cały dzień posilali się żółtym serem, bo na stacjach nie można było niczego kupić, wszędzie panował zamęt. Dopiero trzeciego dnia podróżni mogli korzystać z punktów sprzedaży żywności zorganizowanych na peronach przez Polski Czerwony Krzyż. W czasie krótkich postojów pasażerowie śpieszyli do rozstawionych stołów z czystymi, białymi obrusami, na których stały tace z kanapkami, dzbanki z kawą zbożową, a czasem i kakao, kotły z zupą i stopy blaszanych misek.

Pociąg jechał wolno, bywał przetrzymywany na niektórych stacjach. Leszek stał się członkiem kolejarzkiej rodziny. Sypiał w kącie wagonu pod jedną z ich kołder, jadał z nimi posiłki. Razem wypatrywali nieprzyjacielskich samolotów i razem uciekali w pole, gdy się zbliżały. Pociąg nie miał ochrony przeciwlotniczej i mógł stać się

łatwym łupem dla przelatujących eskadr z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pierwsze bombardowanie zaskoczyło i pasażerów i obsługę pociągu. Maszynista nie zahamował, gwizd bomb mieszał się z monotonnym stukotem kół pociągu. Skuleni wśród swych rzeczy pasażerowie dopiero po długiej chwili mogli odetchnąć z ulgą. Tym razem nikt jednak nie zginął, nalot nie wyrządził wielu szkód. Później obserwatorzy ostrzegali maszynistę w porę, zatrzymywał więc pociąg i dawał gwizdem lokomotywy sygnały alarmowe. Wtedy kto mógł wyskakiwał z wagonów i szukał schronienia w zagłębieniach ziemi. Bomby zrzucone były z dużej wysokości, a więc niecelne. Znacznie bardziej niebezpieczne były pojawiające się w pojedynkę myśliwskie samoloty, które z małego pułapu ostrzeliwały pociąg z broni pokładowej.

W czasie jazdy Leszek przesiadywał najczęściej na stopniach wagonu. Nie opierał nóg na stopniach, pozwalał, by zwisały bezwładnie poza stopniami. Ten bezwład nóg przenikał całe ciało, wdzierał się w zakamarki umysłu, paraliżował. Ale błyskawicznie mijał, gdy odzywał się alarm. Bezwład i odpoczynek to jedno. Sprężenie do skoku, skok, bieg, to co innego, to niczym nie pohamowane działanie. W każdej chwili gotów był do sprężenia mięśni, poderwania się, do szybkich ruchów. Był przecież harcerzem, był nastawiony na to, że nie można się poddawać byle trudnościom. Pokonywał strach, jak pokonywał przestrzeń dzielącą tory od pola, od lasu. Przeskakiwał rów, biegł. Dopadał zagłębienia w ziemi, krył się jak tylko potrafił. A potem znowu kiwał nogami nad stopniem wagonu, patrzył przed siebie.

Pociąg posuwał się wolno, ale wytrwale ku stolicy. Ewakuowani z pogranicza ludzie zdążali w tym samym kierunku, co Leszek. Wiedzieli, że w pobliżu Lwowa czekają na nich kwatery zastępcze. Tam znaleźć mieli domy z daleka od porzuconych w pośpiechu własnych domów. Leszek jechał do swoich, którzy na niego czekali. Zapewne niepokoił się, nie wiedzieli przecież nic o jego podróży przez objętą wojną Polskę. W Warszawie Leszek dowiedział się, że jego pociąg zostanie skierowany przez Siedlce i Łuków, bo linia bezpośrednia na Rozwadów była silnie bombardowana. Na stacji za Warszawą, gdzie zostali zatrzymani na wyjątkowo długi postój, dowiedział się, że obok stoi inny pociąg, który ma odjechać szybciej w kierunku Lwowa. Nie zastanawiał się długo. Pożegnał się z rodziną kolejarza i wskoczył do innego pociągu, też pełnego uciekinierów z zachodniego pogranicza.

Na wschód od Wisły było dość spokojnie. Na małej stacji w Lubartowie wysoki,

brodaty Żyd rozdawał ludziom bochenki chleba. Postój w Zamościu był szczególnie miły. Ordynacja Zamoyskich zgotowała uciekinierom serdeczne powitanie. Na stacji czekało na nich wyśmienite jedzenie, a na deser częstowano kiściami słodkich, soczystych winogron rozłożonymi na wielu tacach. Kiedy zbliżali się następnego dnia do Rawy Ruskiej, zostali zatrzymani daleko przed stacją. Miasto przeżywało właśnie nalot bombowy. Z daleka było widać dymy płonących zabudowań. Na płonąca wciąż stację wjechali dopiero o zmroku, pół godziny po odwołaniu alarmu. Peron był wypełniony gruzem i potłuczonym szkłem. Były ślady krwi, sanitariusze biegali z noszami.

Z tego pociągu Leszek raz jeszcze przesiadł się, tym razem do osobowego pociągu jadącego wprost do Lwowa. Wsiadł na stacji Kleparów. W domu przy ulicy Łyczakowskiej znalazł się około południa. Matka witała go w progu ze łzami radości. Był jednym z trzech synów, którzy po wybuchu wojny pozostawali poza domem. Rodzice niepokoiли się bardzo o ich losy, obawiali się najgorszego. O Tadziku i Zbyszku nie było żadnych wieści. Ostatnią rozmową z Tadzikiem była rozmowa Leszka przez telefon. Zbyszek, mój ojciec, został zmobilizowany do piechoty na drugi dzień po powrocie ze studenckiej wycieczki do Rumunii. Ironią losu powędrował po rozbiciu armii niemal tą samą drogą na południe. Odnalazł się we Francji, a rodzice witali go dopiero po latach, już nie we lwowskich, a w śląskich progach. Najmłodszy Leszek był przez całą okupację w lwowskim oddziale Armii Krajowej. Mieszkał z rodzicami. Po powrocie Leszka do Lwowa rodzina zebrała najpiękniejsze kwiaty z ogrodu i zaniósła je do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Modlili się razem: „Na Twym świętym progu, za wrócone życie dziękujemy Bogu”. Podobnie, choć nie w tej samej świątyni, mogli się modlić po powrocie mojego ojca z tułaczki. Nie mogli jednak powtórzyć słów modlitwy po raz trzeci.

W tych samych dniach września, gdy Leszek podróżował z Poznania do Lwowa, Tadzik, jako obserwator Drugiego plutonu Trzydziestej Trzeciej Eskadry Obserwacyjnej (godło pasikonik z lornetką na tle białego rombu), wykonywał loty rozpoznawcze. Mobilizację sierpniową eskadra przeprowadziła na macierzystym lotnisku Ławica. Uzyskała stan gotowości bojowej 26 sierpnia. Rzut kołowy dojechał do jednostki w nocy z 28 na 29 sierpnia. Dowódca, kapitan obserwator Stanisław Zaleski miał do dyspozycji siedem samolotów „Czapla” (RWD 14). Drugi pluton został przesunięty na lotnisko Dembe koło Kalisza. W dniach 2 i 3 września załogi obu

plutonów wykonały po kilka lotów rozpoznawczych. Załogi drugiego plutonu przeniosły się przed wieczorem w rejon miasta Turek. Wieczorem 4 września, nastąpiło kolejne przeniesienie w rejon Inowrocławia. Tego dnia podporucznicy Sawicki, Tomaszewski i Wilczyński wykonali trzy zadania dla dowódcy 25 DP. Następnego dnia, 5 września wykonały trzy zadania m.in. w rejonie Kalisz i Ostrów Wielkopolski. Z rozpoznania w rejonie Poddębice i Warta nie wrócili podporucznik Sawicki i kapral-pilot Ślebioda. W sumie, od 1 do 14 września, załogi 33 Eskadry wykonały 44 zadania bojowe, w tym 4 loty łącznościowe. Straty eskadry to 4 poległych, w tym Tadeusz Sawicki oraz 8 zaginionych, w tym Józef Tomaszewski. Z siedmiu „Czapli” nie została ani jedna, żadna więc nie była ewakuowana do Rumunii.

Do tej relacji z książki „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” opublikowanej w serii „Skrzydlatej Polski” w roku 1982 dodać mogę, na podstawie wspomnień rodzinnych, że Tomek (Józef Tomaszewski) zjawił się we Lwowie już po zajęciu miasta przez Sowietów. Tomaszewski lądował w rejonie Chełma razem z kolegą, podporucznikiem Rejeckim. Szukał możliwości przedostania się na Węgry. Do domu rodzinnego Tadzika trafił w ubraniu cywilnym, podpierał się na lasce. Nie miał wiadomości o Tadziku. Parę dni ukrywał się z kolegą u moich dziadków w willi przy ulicy Łyczakowskiej. Po ich odejściu dziadkowie już nigdy o nich nic nie słyszeli.

Stryj Leszek opowiedział ze szczegółami swoje przygody podczas imienin ojca, pierwszego kwietnia 2006 roku. Na imieniny matki, Zofii, przyniósł tekst wspomnień spisany na maszynie. Zakończył swoje wspomnienia relacją z pierwszych dni okupacji sowieckiej.

Dwudziestego drugiego września oglądałem pierwszych sowieckich żołnierzy wkraczających do miasta. Całe miasto ogarnęła cisza. Ulica była pusta, przerażeni mieszkańcy stali w bramach albo przy oknach domów. Podeszedłem do furtki przy ogrodzeniu. Od strony rogatki łyczakowskiej, z góry, dochodził tupot butów. Już te odgłosy sygnalizowały krok nieskładny, nie rytmiczny. Podeszli bliżej. Szli po obu stronach ulicy luźnymi szeregami. Nie maszerowali, ale właśnie szli. Było coś dziwnego w ich poruszaniu się, coś, co uderzało patrzącego, nawykłego do maszerowania w pełnym ładzie harcerza. Rozglądali się wokoło ostrożnie, stąpali powoli. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymali kurczowo karabiny z długimi, czworokątnymi bagnetami. Ubrani byli w rozmaite mundury, w hełmach

lub w dziwnych szpiczastych czapkach z nausznikami i dużymi czerwonymi gwiazdami naszytymi nad czołem. Gdy mijali furtkę pomyślałem, że ich krok to nie krok żołnierzy, lecz skradających się złodziei.

Zob. też:

<http://www.cultureave.com/czapla-listy-pilota-najnowsza--ksiazka-ryszarda-sawickiego/>

**Książki wywrotowe czy zbójeckie?
Marian Pankowski (1919-2011).**



Marian Pankowski podczas uroczystości wręczenia nagrody literackiej w kategorii proza, Gdynia 2008 r., fot. wikipedia.

Florian Śmieja

W latach pięćdziesiątych dowiedziałem się z lektury „Kultury” o Pankowskim. Drukował w niej wiersze i recenzje. Na jej łamach w obronie jednego z moich wczesnych wierszy skrzyżował szpadę z Józefem Łobodowskim. Potem czytałem i publikowałem jego prozę w miesięczniku „Kontynenty”, a następnie widywałem jego teksty w kwartalniku Czesława Bednarczyka „Oficyna Poetów i Malarzy”.

Ponieważ mieszkał w Belgii, bywał w Londynie tylko przelotnie. Zapraszał do Brukseli. Spotkanie na jego terenie doszło do skutku dopiero w 1974 roku, kiedy jechaliśmy całą rodziną do Polski i akurat w Belgii starsza córka poczuła w boku ostre klucie i trzeba było szukać szpitala i zatrzymać się na operację w mieście Louvain. Tam stanęliśmy na campingu, a zostawiwszy córkę w szpitalu z trojgiem pozostałych dzieci pojechalśmy do Brukseli.

Wydawszy kilka zbiorów liryków, Pankowski, zrezygnował z pisania wierszy

publikując nagrodzoną przez „Kulturę” uroczą prozę poetycką „Smagła swoboda”. Doceniła tę prozę Maria Danilewiczowa zwąc ją „odosobnioną, nieporównywalną pozycją”, a także, że to „szczupły rozmiarami, ale imponująco dojrzały tom prozy poetyckiej”.

Prywatnie natomiast wyszła powieść „Matuga idzie” objawiająca jego poważne zainteresowanie, jeśli nie obsesję, erotyką. Danilewiczowa konkludując, że „historycy wrócą kiedyś do Pankowskiego”, przywitała książkę odważnie:

Ciekawy jest także „Matuga” i to nie ze względu na pornograficzną aurę, ale jako śmiały eksperyment językowy, krok dalej od Gombrowicza, choć w wyznaczonym przez niego kierunku. Na Emigracji docenił go jeden bodaj Bielatowicz...

Wydawnictwa odrzucały tę książkę, a także garść kontrowersyjnych opowiadań. Pisarzowi patronowali wówczas krnąbrny Michel de Ghelderode i Georges Bataille. Sztukę tego pierwszego Pankowski przełożył na język polski i drukował. To on wprowadził polskiego pisarza w świat diabelski, groteskowy, perwersyjny, świat Breugelowski. Obaj autorzy, wyznał Pankowski, przekazali mu

w formie artystycznej bezwzględna i całkowita wiedzę o współczesnym człowieku „zdolnym do wszystkiego”.

Wtedy napisał dziesięć sztuk eksperymentalnych i cztery w języku francuskim. Wybrał własną drogę. Tadeusz Nowakowski zauważył jego „luzakowanie”, niezgodę na chodzenie w jakiegokolwiek obroży: nie chciał „współpłasać w grobowcu...”. Nie bez powodu zajął się twórczością Leśmiana, człowieka, który jego słowami

wybijał się ze zbiorowości, szukał dla siebie wyjątkowego miejsca, rościł sobie wyjątkowe prawa.

To aluzja do tematu dysertacji doktorskiej Pankowskiego.

Kiedy zaczął drukować w londyńskiej „Oficynie Poetów i Malarzy”, stał się, jak napisał, „uczestnikiem wielkiej przygody”. Wdzięczność swoją wyraził w pięknym hołdzie zamieszczonym w katalogu z okazji wystaw w Polsce w 1990 roku.

Niezależnej Oficynie Poetów i Malarzy zawdzięczam druk moich książek wywrotowych, gdyż nie przylegających do tradycyjnego kanonu tekstów odrzuconych uprzednio przez wydawnictwa emigracyjne i krajowe. Oficyna Poetów była wtenczas jedynym domem wydawniczym wolnym od cenzury. Szczęść się tym, że moje prace poświęcone polskiej literaturze współczesnej, że moja proza i teatr są i pozostaną integralną częścią dorobku Polaków na obczyźnie, skupionych wokół niezależnego słowa Oficyny.

Willa Pankowskiego, położona w spokojnym zaułku Brukseli, była urocza, gospodarz delikatny i pełen uwagi, dystyngowany, bardziej miękki niż wyglądał na fotografii. Osiągnął swoje gody po trudnej młodości, ponieważ, po zawodach i nieszczęściach doczekał się jakiegoś zadowalającego układu ze światem i życiem. Wnętrze domu uznałem za architektonicznie kapitalne, gustownie urządzone, krzesła i fotele były skórzane, meble teakowe, a ściany zdobiły oryginalne obrazy. Żona była w Paryżu, zastaliśmy tylko córkę.

Teatr Pankowskiego zaczął w końcu docierać do widza. Wystawiono jego sztukę w podmiejskim teatrze paryskim, a potem przywieziono ją na kilka dni do Brukseli. W Genewie teatr miejski dał 12 przedstawień innej jego sztuki, „Król Ludwik”.

Poezji dał spokój, bo już mu nie wystarczała forma zapisu lirycznego, była zbyt ograniczona, nie potrafiła wyrazić kwestii człowieka, które dojrzały autor dostrzegał i pragnął ubrać w literacki kształt.

Głosił, że pisarz musi sobie wywalczyć czas do pisania. W Brukseli środowe popołudnia poświęcał na włóczenie się po kawiarniach. Czuł potrzebę samotności. Bo jak inaczej mógł być zarówno pisarzem, profesorem, naukowcem, mężem i ojcem rodziny?

Zapamiętałem w jego domu manekin kobiety, a na gzymsie jednego z pokoi, bodaj salonu, figurkę drwala z piłą. Zachowywał się jak rzeźba kinetyczna, a kiwając się symulował piłowanie kantu. Praktyczni Flamandzcy puszczali go ponoć w ruch, kiedy gość nudził... Miałem się na baczności.

Pankowski marzył o docieraniu do polskiego czytelnika w kraju.

Każdy pisarz polski żyjący na obczyźnie marzy o wejściu na rynek krajowy. Brama to jednak ciasna i przejście prowadzi przez biuro ministerstwa spraw zagranicznych, a opłata za to szczęście - wygórowana. Są to jednak problemy, które pisarz emigracyjny musi rozpatrywać w świetle własnych, jemu tylko znanych okoliczności.

W 1975 roku pojechał na „Warszawską Jesień Poezji”. Bardzo zadowolony doniósł wtedy:

Spotkania autorskie były dla mnie wielkim odkryciem! To, o czym myślałem z ironią i obawą, okazało się cenną konfrontacją z żywymi czytelnikami.

Od tego czasu datuje się stała jego współpraca z redakcjami, wydawnictwami i teatrami w Polsce. Powstały nowe książki i sztuki. Ich autora dwukrotnie nominowano do nagrody „Nike”. Teatry zaczęły wystawiać jego sztuki. Pamiętam, jak we Wrocławiu trafiłem na jego „Chrabąszcze”. W 1998 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo rodzinnego miasta Sanoka.

Dokonania Pankowskiego pokazują niewtórny osobowość, głos oryginalny, wybitny sens języka. On sam w rozmowie wyznał, że chce

Pisać tak, żeby język mych tekstów był rozpoznawalny, żeby nie żółkł razem z kalendarzem, ale został jak żywica.

Po krótkiej więc inkursji we francuszczyznę znalazł swoje forte w drażeniu języka polskiego.

Teksty jego przyjmowano różnie. Tomasz Wolańczyk zauważył, że wywołują one „Niechęć albo podziw, ale najczęściej zamieszanie i trochę strachu...”.

Wydawca jego pism Czesław Bednarczyk, rozpoznał w nim zjawisko w literaturze polskiej wyjątkowe. Napisał otwarcie i jasno:

Pankowski zajął się głównie marginesem społecznym, który zawsze był, jest i będzie. Blaski, jasność, bohaterstwo, poświęcenie, nawet miłość odsuwa na bok

lub świadomie przemilcza. Pokazuje nam brutalną, nagą prawdę. Pożyteczna to, moim zdaniem i wielce ciekawa twórczość i kto wie, czy nie lepiej może wpływać na wychowanie niż tzw. dobro fałszowane? Dla szerokich mas jednak nie jest to sztuka budująca, zrozumiała, krzepiąca. Dla ogółu jest literaturą złą. Świat potrzebuje „narkomanii dobra” mimo, że siedzi po uszy w zgniliznie. Książki jego nie zabłądzą pod strzechy.

Pankowski bronił swoich wizji jako świadek innej rzeczywistości:

...z ludzkich ciemności idą na nas wciąż nowe postacie z liściem piołunu na ustach za cały los.

Konstanty A. Jeleński widział w negliżowaniu pisarza przez krytykę emigracyjną i krajową „Zatajony podziemny polski erotyzm, który nie chciał wywlekania wszystkiego na światło dzienne”. Sam autor „Matugi” napomknął w liście do mnie, że nie chce „narzucać się z tekstem, którego czytanie wymaga pewnego dystansu wobec mieszczańskości w nas i poza nami”. Gdzie indziej wyjaśniał, że będąc wśród Flamandczyków przejął ich plebejską szczerłość wobec cielesności.

W londyńskim miesięczniku „Kontynenty” przeprowadziliśmy ongiś panelową dyskusję zatytułowaną „Rozmowa o pornografii, erotyzmie i prozie Pankowskiego”. Zbigniew Grabowski o książce „Matuga idzie” wyraził się nie bez pewnej chyba zazdrości, że „Jest to książka jurna, zawieszista i książeczka poety” konkludując, że „Matuga nie dochodzi... atakuje tabu, ale nie bulwersuje czytelnika, wyczerpuje się w żakowskich trochę figlach i popisach”. Lecz jeżeli Pankowski przegrywa u niego do Witkacego i Joyce’a, to nie ma się czego wstydzić.

„W sztuce jestem za swobodą” – deklarował w jednym ze swych wywiadów. Chce by go broniły teksty same, lecz wyznaje, że istotnie wybiera sobie osobliwych protagonistów swojej prozy i dramatu. Jest nim zazwyczaj człowiek żyjący „na marginesie”, odrzucony, np. starzejący się emigrant, albo ktoś wykolejony, żyjący za granicą pod innym nazwiskiem. Człowiek wyobcowany, „goszysta”, zagubiony we własnych sprzecznościach, skłonny do odruchów anarchicznych. A to wszystko, bowiem, jak zaręczał Marian Pankowski, Professeur Honoraire de l’Université Libre

de Bruxelles

...wyrażając agresywność i aspołeczność takich ludzi, takich postaw, chcę się przekonać, że jestem po stronie równowagi i ładu.

Pankowski zawsze miał ambicje, by udowodnić sobie i innym, że ubogi chłopiec z Sanoka może się dorobić czegoś w świecie. Cudem przeżywszy obozy koncentracyjne, zostawszy profesorem na zagranicznym uniwersytecie, zaspokoił głód uznania. Międzynarodowe sympozjum roztrząsało jego bogaty dorobek. W Polsce zdobywa sobie zwolenników konsekwentnym odkrywaniem obszarów w literaturze polskiej pomijanych, przemilczanych, spychanych na margines. Uczulony na krzywdę i momenty poniżenia, nie zapomina o losie innych, wszak sam siebie również za takiego uważał. Atakowany, bronił się posiadaniem wątpliwości, które go trapiły, dodając przekornie, że gdyby ich nie było, ziemia byłaby nadal płaska. Myślenie inaczej wyzwala, choć wciąż płaci się za nie wysoką cenę. W Warszawie jakiś czas temu otwarto muzeum erotyki. Coraz więcej książek Pankowskiego ukazywało się w Polsce, autor jeździł i udzielał wywiadów, w google'u mnożyły się reklamy. Ale jeżeli pisarz miał swobodę, by szokować, ośmieszać i kpić z bogoojczyźnianych ekscesów i religianctwa niskiego lotu, to czytelnik pozostał nadal raczej oszołomiony i nieufny. Nie przystaje pochopnie na zmienianie oblicza polskiej kultury. Także ceni sobie swoje wątpliwości i może nie podzielać jego smaku i preferencji.

Marian Pankowski na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/marian-pankowski-1919-2011/>